

BLUSZCZ

PRENUMERATA w WARSZAWIE:
miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparem lub za jego miejsce, na dwóch ostatnich stronicach numeru kop. 20, w rubryce „Nadesłane” kop. 75, na marginesie rb. 6.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

▲▲▲▲ **Ekspedycja główna: Nowy-Świat 41.** ▲▲▲▲

Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

W Cesarstwie Austriackim: w Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu”, Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przesł. poczt. kor. 6.60
W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5—na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 marek z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Uprzejmie prosimy Sz. Prenumeratorów o wczesne odnowienie prenumeraty na kwartał II-gi.

Paulina Kuczalska-Reinschmit.

W roku bieżącym upływa 30-lecie pracy i boju Pauliny Kuczalskiej Reinschmit, pierwszej w kraju naszym rzeczniczki równouprawnienia kobiet.

Gdy entuzjastki, szamocąc się w nakazach tradycji, uznawały możliwość jedynie umysłowego wyzwolenia kobiety, gdy pierwszy orędownik praw kobiecych, Edward Prądzyński, wyłączał z pod normy ogólnej mężatki, uważając, iż spółka małżeńska zawiązywać się powinna kosztem „nieuniknionej ofiary ze strony domowej niezależności kobiety”; gdy „Marta” Orzeszkowej uderzyła głównie w dzwon ekonomicznego przeobrażenia warunków bytu kobiety, — Paulina Kuczalska-Reinschmit rzuciła żądanie, pełnych bezkompromisowych praw politycznych, społecznych, umysłowych, ekonomicznych i towarzyskich, jednakich dla obu płci.

Ogół nasz przyzwyczajony do cichej, nieśmiałej ofiarności działaczek, które, budując nowe postulaty, niczego nigdy nie żądały wzamian, a pracę swoją ukrywały za parawanem głośnych nazwisk męskich, — ogół uznał sztandar Pauliny Reinschmit za szaleństwo. Jeżeli sądzono i drwiono z entuzjastek, jeżeli jak na niepoczytalne dziwactwo patrzono na książkę Prądzyńskiego „O prawach kobiety”, to nie było chyba taranów, którymi by nie uderzała opinia o wyłomy z nieustraszoną energią i gorliwością strzeżone przez Paulinę Kuczalską-Reinschmit.

Podobnie, jak kropla żłobi kamień, tak czynność niestrudzonej pionierki jej odwaga w walce, podważyły ciężkie wrzeczydże ogólne niedowierzania — i ogólnej niechęci.

Z dniem każdym rosną dziś zastępy tych, którzy zrozumieli, że: żądać równouprawnienia to nie znaczy chcieć wywrócić porządek społeczny lub zburzyć ustrój narodowy; przeciwnie — to znaczy wyczuć najpilniejsze potrzeby ogólne i w ich imię, w imię przetwarzających się warunków ekonomicznych, w imię drogowska-



PAULINA KUCZALSKA-REINSCHMIT.

zów etycznych dążyć do nadania głosu wszystkim szeregowcom pracy, a więc i zaciągniętej do niej kobiecie.

Nim wyniki udziału kobiet w sejmie i gminie dały znać o sobie, nim rozgrzmiały odezwy uczonych i publicystów, składających hołd delegatkom do parlamentu i do Rady miejskiej tych krajów, które przyznały kobiecie pełne równouprawnienie — Paulina Kuczalska R. już wykazywała doniosłe znaczenie reformy, w imię której walczyła od lat 30-tu.

Głębsze wejrzenie w życie i jego palące, a pomijane dotąd przez posłów męskich zagadnienia: podniesienie poziomu etycznych wymagań, walka z reglamentacją prostytucji i z handlem żywym towarem, walka z alkoholizmem, ubezpieczenie starości, rozpatrzenie najniezbędniejszych potrzeb szkolnictwa i odjęcie mu piętna szablonu, zamiana prawa małżeńskiego i prawa o dzieciach nieślubnych, dźwignięcie gospodarstwa domowego do rzędu nauk zawodowych, opasanie krajów siecią instytucji, mających pieczę dziecka na celu, jak: kropla mleka, wzorowe żłobki i t. p. — wszystko to podjęła i o to walczy kobieta Australii, Nowej Zelandyi, Stanów Ameryki, Finlandyi i Norwegii.

Przygotować pokolenie naszych kobiet, aby gdy wybije godzina — były zdolne podjąć brzemień pracy obywatelskiej, dobijając się o wszystkie możliwe do zdobycia placówki, dzwonić na alarm wobec każdej krzywdy wyrządzonej kobiecie, budzić tłum apatycznych, biernych, i śpiących, rozniecać poczucie godności i wiary w siły własne, nie spuszczać nigdy z oka głównego celu: dążenia do równych praw, bez względu czy możliwość osiągnięcia ich nasunie bliżka czy daleka bardzo przyszłość — to było dziełem 30-tu lat niezmordowanych wysiłków jubilatki.

Gromadziła ona koło siebie wiele wybitnych umysłów kobiecych. Nie mając dawniej możliwości stworzenia związku pod hasłem równouprawnienia — zgrupowała w początkach działalności swojej, dzielne, najbardziej samorzutne żywioły w głośnej przed laty 3-iej Szwalni, z której powstała z czasem „Unia” silnym echem odtwarzająca każde tętno ruchu kobiecego na zachodzie. „Unia” po kilku latach ist-

nienia zamknęła działalność swoją w ramach „Delegacyi”, a następnie „Koła pracy Kobiet” przy „Towarzystwie popierania pracy i handlu”. Koło to pod hasłem demokratyzacji idei objęło wszystkie kobiece żywioły robocze. Sprawozdania z posiedzeń w większych i mniejszych salach „Muzeum Przemysłu” podawała w swoim czasie prasa. Pamięta je każdy, kto mniej więcej śledzi ruch kobiecy u nas. Wynikiem obrad był niejeden czyn doniosły. Z łona „Koła pracy kobiet” za staraniem p. J. Bojanowskiej, nieodstępnej towarzyski Jubilatki — powstały „kursy niedzielne rysunkowe” dla pracownic przy Muzeum Rzemiosł i Sztuki stosowanej, a następnie wakacje szwaczek, oparte na zasadzie wymiany usług (pół dnia pracy za utrzymanie na wsi); jeszcze później „szkoła niedzielna dla kobiet” i t. p.

Zrealizowane pomysły trwały dłużej lub krócej, raz jednak przywołane do życia siłą energii toczyły się dalej. Kto inny objął dziś

kierownictwo kursów rysunkowych i szkoły niedzielnej, kto inny na szerszą skalę rozwinął dzieło kolonii letnich dla kobiet i zapewnił im trwałe podstawy bytu — ale nie trzeba zapominać, że zapoczątkowanie dała im pośrednio lub bezpośrednio Paulina Kuczalska-Reinschmit.

W roku 1906 spełniły się marzenia całego życia Jubilatki: powstał założony przez nią „Związek równouprawnienia kobiet polskich”, placówka, która wchłonęła w siebie dawne „Koło pracy kobiet”, a której hasła mogły iść w świat nareszcie bez żadnych osłon i kompromisów.

Związek, na czele którego stoi Jubilatka ma liczne rozgałęzienia na prowincyi (Sieradz, Zduńska-Wola, Radom, Kalisz, Płock, i w Cesarstwie: Petersburg, Kijów i t. d.) Wszystkie one nie tracą z uwagi ani na chwilę dobra narodu, podniesienia poziomu oświaty i kultury ogólnej, stwarzają szereg instytucji o doniosłym pożytku dla kraju — mają na celu wszczepia-

nie w społeczeństwo nasze idei równouprawnienia obu płci.

Niosąc sztandar idei od lat 30-tu, Paulina Reinschmit popierała ją nie tylko żywym słowem w przemówieniach z katedr publicznych, na wiecach, kongresach międzynarodowych, ale i piórem. Redagowany przez nią przed laty we Lwowie, a wznowiony od lat czterech w Warszawie „Ster” jest wybitną placówką hasel równouprawnienia. Broszurę „Nasze cele i drogi” „Młodzież żeńska a sprawa kobieca” — „Wyborcze prawo kobiet” i niezliczona ilość artykułów były drogowskazami dla kobiet naszych, niosły przytem silny odgłos postępu sprawy zagranicą. W historii ruchu kobiecego Paulina Kuczalska zajęła miejsce pierwszorzędne.

Dla uczczenia tych zasług doniosłych Jubilatki zorganizowany komitet przeznacza dni 6—7 Maja r. b.

Zofja Seidlerowa.

TADEUSZ KONCZYŃSKI:

ZAWROTNE DROGI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

2)

Pani Załucka zadrżała.

Ręce jej powoli, bezwładnie zesunęły się z ramion córki i zawisnęły wzdłuż ciała, drżące, wstrząsane wewnętrznym łkaniem.

Jakby w oczekiwaniu pomocy dalekiej, ziemskiej, twarz jej gładka bez zmarszczek, jedna z tych twarzy czystych, jakby rzeźbionych z wosku, obróciła się w stronę Chrystusa, koło którego nóg krwawy cień pełzał coraz bardziej nieśmiały i coraz bardziej bezświetlny, im wyżej piał się — aż stawał się mroczną aureolą dookoła cierni, wieńczących głowę.

W stalowych oczach pani Załuckiej zaświeciły dwie duże łzy, dwie krople krwi przezroczyściej, zrodzone z odbicia czerwonej lampki, płonącej przed ołtarzem.

I te łzy opaść nie chciały. I na tych ustach z lekka rozchylonych zastygła niepomiarne boleść i niedopowiedziana skarga.

— Chryste, Chryste — zadrżały wargi szepem. I znowu milczenie wypełniło po brzegi kaplicę i tylko z pod stropu, białymi szybami wyłożonego, wracało przerażone echo:

— Chryste, Chryste.

Pani Załucka wyprostowała się, odchyliła w tył głowę znużoną, przymknęła oczy — na kolanach poczuła czoło córki.

— Niewinna jestem, niewinna jestem — belkotała młoda kobieta.

— Tak było już raz i wróciłaś do niego — odezwiała się pani Załucka głosem cichym.

— Tak, tak! ale właśnie dla tego, matko, nie jestem winna. Chciałam, pragnęłam, zrobiłam wszystko to, czegoście żądali odemnie — lecz uwierz mi, najdroższa, tak dłużej być nie może.

— Dzieci...

— Stefan jest dla dzieci dobry. Lepszy odemnie. Kocha je naprawdę.

— Ale tyś jest matka.

— Nie zdołam dłużej. To już nad moje siły.

— Wando! on ciebie naprawdę kocha.

— Wiem, wiem, matko i to jest właśnie rzecz najstraszniejsza.

— Najpiękniejsza...

Pani Wanda objęła za szyję matkę, przytuliła twarz do jej twarzy i szeptała zdyszczonym głosem.

— Matko, czyś ty nigdy nie była prawdziwą kobietą?

W oczach pani Załuckiej błysnęło zdumienie.

— Nie rozumiem ciebie — rzekła.

— Ach to źle — płynęła spowiedź z nerwowych ust klęczącej — o tych rzeczach nie można przecież mówić tak głośno, tak jaskrawo. On także tak, jak ty, nie rozumie tego, że nie można...

— Wando! przecież nie sposób by, ktoś nieustannie miał zgadywać cudze myśli. Życie z sobą tak blisko, że nie powinnaś lękać się! powinnaś mówić mu wszystko. Tak byście wreszcie może zrozumieli się zupełnie. Od tego jest pożycie małżeńskie, aby nawet to, co jest tajemnicą w waszych duszach, stało się dla was rzeczą zrozumiałą.

— Nie matko.

— I ty taka rozsądna, taka nie marzycielska, taka zrównoważona popelniasz tak karygodne i nierozsądne rzeczy. Mówisz Wando jak dziecko...

— Matko... tego nie można zabić w sobie... to coś jest mocniejsze odemnie...

— Ty taka prostolinijna... bez żadnej obłudy...

— Właśnie dla tego matko nie mogę! pojmi! nie mogę, nie mogę gwałcić mojej natury!

Pani Załucka odsunęła głowę córki i z przestrachem jeszcze silniejszym wpatrywała się w nią, złamana i bezsilna wobec tych namiętnych skarg, które płynęły z ust Wandy.

— Mówiłaś dawniej, żeś przemęczona, — tłumaczyła córce — że nerwy cię ponoszą. Czyżby teraz istotnie zaszło coś ważniejszego między wami? Czy on ciebie zdradza?

Pani Wanda zacięła usta. Powoli twarz jej stawała się czerwona jak lampka, migocąca pod ołtarzem.

— A więc dobrze — rzekła ze złym błyskiem w oczach — będę brutalna do ostateczności. Nie rozumiecie mnie, to dobrze.

— Co chcesz powiedzieć?

— Matko — rzuciła z krtani urywanymi akcentami — ja chcę być panią samej siebie! Ja chcę sama rządzić moją wolnością, całą sobą.

— Przecież Wando...

— Ja nie chcę być jego *własnością!* ja muszę mieć zostawioną sobie swobodę, chociaż tę prostą, fizyczną, słyszysz matko, tę prostą fizyczną, jeśli już nie ludzką!

Pani Załucka zasłoniła oczy dłońmi — nie miała odwagi spojrzeć córce w oczy. Słowa Wandy wdzierały się jej w uszy rażące, okropne, brutalne. Niezłębiona przepaść tajemniczego zła otwierała się pod jej nogami. Chwilami wierzyć nie mogła, że to był głos rozdrażniony jej córki.

— Mnie to do rozpacz doprowadza! Matko słyszysz? słyszysz? — pochwyciła ją za ramiona, patrząc jej w oczy roznamiętnionemi od gniewu źrenicami.

— Przestań! już nie mów!

— Teraz muszę mówić! sama chciałaś — protestowała półkrzykiem, półjękiem — ja nie mogę już nad sobą dłużej panować! to woła we mnie oddawna! oddawna! tylko wy — wy!!

Wzięła siwiejącą głowę matki w obie rozpalone ręce, pocałunkami okrywała jej czoło, łzami gorącymi paliła jej policzki.

— Matko... ja nie jestem ta Wanda dawniejsza... ja go zniecierpliwiona, bo on mnie uszanować nie potrafił! mojej wolności! Zrozum mnie

matko, że takie chwile są dla mnie ohydne... skoro są wbrew mnie...

— Przestań! nie mów!! To nie może być!!

— Nie matko! Teraz już mnie nic nie może powstrzymać od buntu, żadna potęga na świecie!

Pani Załucka zbladła. Wanda wydawała się jej cynicznie złą. Miała żal do córki, że nie uszanowała jej wieku i mówiła do niej o rzeczach, o których jej zdaniem kobieta nigdy mówić nie powinna.

— Biedny, biedny Stefan — powtarzała boleśnie — będzie miał żal do nas, tylko do nas! tak, tak, rodzice odpowiadają za córkę...

— Ależ matko! *nademną* się ulituj! przecież ja cierpię! zrozum matko, że ja do obłędu dochodzę! Przecież, jeżeli ja to wszystko teraz powiedziałam, przed czym dotychczas wzdrygałam się tylko sama przed sobą w myślach, jeśli ja to teraz głośno mówię, to musisz zrozumieć, że mnie jest źle, że mnie jest bardzo źle na świecie!

Pani Załucka nie mogła powstrzymać łez, które gradem jęły spadać jedna po drugiej z wytężonych męką żrenic.

— Życie jest cierpieniem — wyszeptaly jej wargi.

— Matko! z cierpienia rodzi się człowiek, który chce żyć... ja matko chcę żyć...

— Kochałaś go...

— Nienawidzę go!

— Gdybyś umiała cierpieć tak jak ja...

— Jak ty matko?? to może byłabym świętą, jak ty jesteś, ale nie znalazłabym nigdy tego, co się zwie wolnością, szczęściem...

— Nie znajdziesz, nie znajdziesz.

— Niech nie znajdzie! może to tylko kłamliwe słowa! może to tylko teorie! ale to jest prawdą matko, że ja już tak żyć nie umiem, jak ty żyłaś! Ty umiałaś cierpieć, a ja tego nie umiem! i nie chcę! rozumiesz złota matko! nie chcę! bo takie cierpienie nikogo do niczego nie prowadzi! i nikogo nie udoskonali! bo takie cierpienie jest tylko zabijaniem *mojej* osobistej godności! mojego człowieczeństwa...

— Bóg was połączył na dolę i niedolę.

— Bóg nie może chcieć, aby ktoś był nie-szczęśliwym! taki świat nie miałby po co istnieć.

— Błędzisz!

— Nie, mamo! mnie ten głos najtajniejszy, który rodzi się sam z siebie w sercu, nie zawodzi, o nie! i ty, matko, takie głosy nieraz słyszałaś, tylko nie zważałaś na nie! Mnie ten głos mówi, że ja mam prawo do szczęścia prawdziwego i do wolności prawdziwej! i ja ich pożądam i łaknę...

Pani Załucka popatrzyła na córkę surowo.

W miarę, jak Wanda coraz bardziej wypowiadała się, zamierał w pani Załuckiej i płacz i żal i gorycz, a zaś rosła w niej siła przekonania nieubłagana i zimna.

— Mogłaś tak marzyć, kiedyś była panną. Oświadczam ci, że dziś na to wszystko za późno. To mrzonki i kaprysy. Mąż ma do ciebie prawo tak samo, jak ty do niego. Mądrzejsi ludzie żyli przed tobą i było tak samo, jak musi być i zostanie tak samo. Życie to cierpienie i obowiązki. Masz wychowywać dzieci i być dobrą żoną.

— I powolną — dokończyła ze sztucznym śmiechem pani Wanda.

— Niech będzie i powolną, skoro jesteś tak bezczelna i przy matce mówisz w ten sposób. Lecz już dość. Pomówimy o tem u mnie w pokoju. Tu kaplica. Nie obrażajmy Boga, który cierpiał za nas wszystkich.

To mówiąc, wyszła z ławki, ukłękła na stopniu przed ołtarzem i długo modliła się w głębokim skupieniu.

Pani Wanda stała przy drzwiach posępna i sztywna. Żałowała wybuchu. Sądziła, że matka zrozumie ją i odczuje, a tymczasem zawiodła się zupełnie i utrudniła jeszcze bardziej swoje położenie.

— Niech będzie, co chce — powtarzała w myśli z uporem — byłam przygotowana na gorsze przyjęcie.

Poszła za matką posłuszna i czujna.

Lecz pani Załucka nie odezwała się ani słowem do córki. Już dawno przeszły wzdłuż cały korytarz, minęły gabinet pusty pana domu i pokój jadalny, dawno zamknęły się za niemi drzwi sypialni, a ona, jakby nie czuła obecności córki, to chodziła po pokoju, to przystawała, cała zatopiona w myślach.

— Wando! — rzuciła nakoniec energiczne wezwanie.

— Słucham, matko.

— Uważam tę rozmowę tam, w kaplicy, za rozmowę, której całkiem nie było. Zapominam o niej i ty o niej masz zapomnieć. Ja zrobiłam rachunek sumienia sama z sobą. Ani chwili jednej nie zatrzymuję ciebie dłużej. Jutro rano każę konie zaprządz i wrócisz do Wądowej. Stefan czeka na ciebie.

— Nie wróć, matko — odezwała się pani Wanda zbolełym głosem. Wszystkie nerwy zatrzęsły się w niej od nagłego przyływu żalu i gniewu.

— Ja wiem, że wrócisz. Moja córka wróci do dzieci i do męża. Stefan mnie zna. Stefan wie, że ja nie dam schronienia pod swym dachem kobiecie, która zapomina o swoich obowiązkach. Więcej nie mam nic do powiedzenia. To jedno tylko dodam... że zapomnę o wszystkim... i że w takim razie będziesz znowu dla mnie dawną, kochaną córką.

Pani Wanda stała przed nią oniemiała z boleści, bez słowa, bez gestu.

D. c. n.

□□□□□□□□

Pod znakiem Błękitnej Królowej.

~~~~~

Pięć lat upływa od chwili, gdy Józef Weysenhoff, autor niezrównanych w swej ciętości, choć zawsze niezmiernie wytwornych satyr na wyłączających się dobrowolnie z pośród społeczeństwa przedstawicieli naszego „wielkiego świata”, jak: „Podfilipski”, „Sprawa Dołęgi”, „Syn marnotrawny”, wpłynął na szerokie wody życia politycznego.

Pod wrażeniem pamiętnych wypadków 1905 i 1906 roku powstały „Dni polityczne”, *sui generis* obraz satyryczny tajnych działań i jawnych występów rozlicznych odłamów narodu, od tchórzliwie zachowawczych do płomiennie rewolucyjnych. Autor, jak chór grecki, stał ponad partjami, surowo je sądząc, w imię wyż-

szych zasad sprawiedliwości i istotnych potrzeb ciała i ducha narodu.

Nie była to jeszcze powieść polityczna, to były dopiero materiały do powieści, „pod kątem nieskończoności” przez prawdziwego artystę oglądane.

Nie była też powieścią polityczną „Unia” bo publicystyka — sprawa stosunku obecnego Polaków do Litwinów — jest tam li tylko jednym z motywów artystycznych w rozległym obrazie kraju i ludu, pendzlem świadomego swej mocy duchowej mistrza nakreślonym.

Horyzonty myśli twórczej autora „Sprawy Dołęgi” rozszerzają się coraz bardziej, zwłaszcza w kierunku plastyki uwiecznionych w dziele momentów natury i rodzajowości postaci i środowisk ludzkich.

Najnowszy utwór Weysenhoffa, „Hetmani”<sup>1)</sup>, przypomina „Dni polityczne” zarówno pod względem wyboru przedmiotu, jak i pewnych wytycznych kierunków myśli i aspiracji politycznych.

Ale zachodzi pomiędzy nimi poważna różnica.

„Hetmani” bowiem nie są, jak „Dni”, satyrą, niema w nich ironii, lekkiej, zwinnej, niemal nieuchwytniej, a subtelnej. Odzywają się natomiast akordy głębokie, poważne, gromy potępienia i namaszczone apostołowanie.

To natomiast, co tam było zaledwie zaznaczone, np. poszukiwanie obcych żywiołów w naszej ostatniej rewolucji („czarny milion!”), w „Hetmanach” staje się osią krystalizacji. Dążenia patryotyczne, zawierające się *implicitie* w „Dniach”, a także i w dawniejszych utworach Weysenhoffa, tutaj są na każdej karcie ujawniającem się podłożem uczuć, myśli i czynów. Jeśli poprzednie powieści Weysenhoffa uczyły, jak nie należy służyć Błękitnej Królowej, to „Hetmani”, utwór najbardziej dogmatyczny ze wszystkich, jakie kiedykolwiek nasz autor napisał, jest nakazem bezwzględny, powołującym pod sztandar pracy narodowej wszystkich wiernych synów ojczyzny.

Jeżeli, wreszcie, „Dnie polityczne” były analizą poszczególnych objawów nurtujących nasz naród prądów społeczno-politycznych, to „Hetmani” są tych prądów syntezą, zaklętą w żywe kształty mocą wyobraźni twórczej.

„Hetmani”, wodzowie narodu, uosobienie tych tendencji sprzecznych, jakie ujawniły się w naszym społeczeństwie w roku 1905, tych dróg rozstajnych, które pobiegły w dal nieznaną, nieodgadnioną przed wzrokiem skulonej u Bożej Męki, w łachmany odzianej, Doli polskiej...

Jedną z nich wybrać należy; a od wyboru tego tak wiele zależy, kto wie, czy nie hamletowskie: „Być, albo nie być?”

W miarę potrzeby Lorenz od przypadku Wawrzyniec Łatzki, Eksceleńca, recte Lejba, ubogi Żydek z Lublina, który niewiadomo jakimi drogami zdobył nie tylko olbrzymi majątek, ale i wysokie stanowisko w świecie „finansjery” berlińskiej i dyplomacyi międzynarodowej, to przedstawiciel prądów kosmopolitycznych, pod płaszczykiem „postępowości” i „liberalizmu” przemycających wyraźną nienawiść do wszystkiego, co polskie, do wszel-

<sup>1)</sup> Józef Weysenhoff. Hetmani, powieść współczesna, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka.

kich tradycyi narodowych i hasel, dla których żyli i umierali nasi ojcowie. On to, wraz z „towarzyszami” rosyjskimi, Łuką Nikityczem Tomiłowem i popowiczem Czeremuchinem, nie bez udziału vice-konsula niemieckiego w Warszawie, mąci wodę w Królestwie w pamiętnym roku 1905, reżyseruje, zdala, lecz pewnie, zamachy i akty terrorystyczne; on, przez swoich subalternów, Rubinów Heldów, Szmulów Krótkich, Karlmejerów i innych „polskich” socjalistów, urządził walki bratobójcze, strzela w łby, nie chcąc przejść się ideami „wyższej kultury”, nienawistnych narodowców; on rozpala ognisko rewolucyi, sypiąc na nie stopy złota i — brauningów, importowanych z Berlina, niszczy polski przemysł i dobrobyt, dla czyjej korzyści — łatwo zgadnąć; pod jego to ojcowiskiem okiem drukują się w Berlinie świstki rewolucyjne, ognistym stylem, a kiepską polszczyzną pisane — gdybyż to jeszcze można było polskie pismo w Berlinie wydawać, w odpowiednim duchu prowadzone!

Oto jeden z „hetmanów” dzisiejszej Polski, postać, traktowana realistycznie i z dużą plastyką, ale jednocześnie będąca symbolem licznych objawów życia politycznego, zarówno na arenie dawnej Rzeczypospolitej, jak i poza jej granicami.

Figura drugiego „hetmana” jest już bardziej widmowa, fantastyczna. Bohater powieści, Tadeusz Sworski, urzędnik na kolei, trochę dziennikarz, od czasu do czasu, w chwilach przełomowych swego życia, spotyka postać dziwną, jakby nie z tego świata. Niby to krewny jego, pozwala się nazywać stryjcem, ale Sworski czuje, że nie węzły pokrewieństwa go wiążą z tym duchem wyższym, dostojeństwa pełnym i natchnienia proroczego; nędzna na nim szata, łachmany niemal, a przecież wielka duma, duma królewska patrzy mu z twarzy bladej i błyskawicami potężnego uroku strzelających oczu; głodem nieraz przymiera, od trudu upada, a mimo to nie tylko nie zniży się do prośby, ale nie okaże nikomu, że potrzebuje pomocy...

To Wojciech Piast, „książę Piast”, wódz narodu, wszędzie, od wieku z górą, obecny, gdzie Polska dźwigała się i — upadała.

Kto on?

„Na Wawelskim zamku panowali przodkowie jego, śpią w podziemiach ich godła królewskie, przywarłe do kości świętych, okadzonych uwielbieniem milionów — —

„Albo raczej Piast żyje w tem dzielnym pokoleniu, które się rusza i śpiewa na Podgórzu, Skalmierzu, Łobzowie — — Stąd wyszli praojcie jego, wstąpili na Wawel i na szczytach wygaśli, ale bujnie plenią się w dolinach, gotowi znowu wzbąć się w dumę i chwałę. Ilu to już spotkaliśmy krzepkich, jak dęby, mężów w barwnych sukmanach, którymby tylko płaszcze na ramiona i słowo wyższe w usta — a byłby On!”

Piast, ten „wielki, odwieczny rewolucjonista”, ten niestrudzony, choć umęczony emigrant polski, wieszczący ludom dobrą nowinę, marzący o wielkiem dziele, czynu, nie słowa, „Nowej Teogonii”, która będzie zarazem nową ewangelią dla cierpiącej ludzkości, „robiący Polskę” wszędzie, gdzie noga jego wędrownicza postanie, — to wcielenie tradycyi przeszłości i nadziei na przyszłość narodu.

Ale przeszłości niezbyt odległej.

„Nie widzę pana Wojciecha Piasta — mów

Sworski — ani popuszczającego pasa za króla Sasa, ani w robotach Wielkiego Sejmu. — — Mógłby już być w szarzy pod Somosierrą. — —

„A może był dopiero pod Belwederem w ową noc listopadową? To pewna, że nie wśród peruk, obradujących łagodnie na wolnym sejmie o nagłości obrony Królestwa, ani pośród mundurowych panów, odstępujących sobie niepożądaną buławę z ręki do ręki omdlałej. — On pierś pełną ojczyzny niósł na spotkanie szczęścia wyzwolenia...

„Że walczył w lasach 1863 roku — to wiem napewno”...

Nie było Piasta w one czasy, gdy Polska cieszyła się szczęściem i spokojem, a jej granice nie tknięte rozciągały się swobodnie od wschodu na zachód. Ale już towarzyszył do Kaługi pierwszym wygnańcom polskim: Sołtykowi i Rzewuskim, i konfederatom barskim w dalekiej drodze ku mroźnej krainie Anhellego. On czuwał na biwakach legionów, wspierał radą Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, a z Jabłonowskim zabrnął, aż „kędy pieprz rośnie” i wraz z nim „gromił murzynów i wzdychał do kraju”. A może to on jest twórcą owej sławnej piosenki „wojsku polskiemu tak miłej”, o żołnierzu-tufacu? To pewna, że zdeptał wszystkie ślady bojowników wolności — pod rozkazami Cezara, wszystkie, od „puszcz libijskich do Alpów podniebnych”, od Taboru do Berezyny...

A potem, ileż razy ta majestatyczna wizya Polski walczącej, a nieszczęśliwej, pokonanej, a nieugiętej, zjawiała się u kolebki czynów wielkich i cierpień bezmiernych, czy w samotnej pracowni wiecznie marzącego radośnie o „kraju lat dziecinnych” na „paryskim bruku”, czy w śniegowej chacie Anhellego, czy u wezłowią dogorywających na obczyźnie, w kwiecie wieku, Garczyńskiego i Mochnackiego, czy w zimnych i głodnych izdebkach na poddaszu wielkich starców polskich, Lelewela i Goszczyńskiego...

On był wszędzie — wszędzie kołł bóle — i wszędzie zagrzewał!

Nie można oprzeć się urokowi tych scen, w których zjawia się Piast w „Hetmanach”. Wieje z nich duch bohaterski i majestat nieśmiertelności i odurzający czar czegoś niezmiernego. Zwłaszcza pierwsze widzenie: w Haldzie i trzecie: pod Świętym Krzyżem w Warszawie, u stóp niosącego narzędzie swej męki Chrystusa; a choć idzie tu Piast pod strażą żołnierzy, zdaje się, jakby on im przewodził...

Takich dwóch „hetmanów” wyprowadza na scenę Weysenhoff w swej ostatniej powieści. I ci dwaj toczą między sobą walkę o duszę Sworskiego, inaczej mówiąc, o duszę narodu.

„Za błękitami był bój i zwycięstwo...”

Raz tylko stanęli sobie oko w oko. W cytadeli, kiedy stojącego za kratką sądową Piasta oskarża Latzki o wszystkie zbrodnie stanu przeciw „istniejącemu porządkowi rzeczy”, a on odpowiada krótko i pogardliwie.

„Chwila jest, Lejbo Latzki, że trzeba ogłosić prawdę o tobie i o was, bo przebrała się miara liczby i nieprawości waszej. Dopóki władaliście tylko złotem, byliście jeszcze znośni. Gdy przez złoto sięgacie do innych potęg i oplatacie dusze — czas jest otrząsnąć się od was i z wami walczyć.”

Ci dwaj więc i Sworski. A przy boku hetmanów, jak dwa anioły, jasny i ciemny, dwie ko-

biety. Za ich to pośrednictwem Piast i Latzki sięgają do głębi duszy bohatera powieści.

Mniejsza o pannę Zofię Czadowską, powiernicę i przyjaciółkę pierwszego z nich, pozostawioną przez autora, może niesłusznie, nieco w cieniu. Ale Hela, córka Latzkiego, jest jedną ze świetniejszych kreacy kobiecych w naszej beletrystyce. Te ciche, wraz ze Sworskim zadumy, wobec nieśmiertelnych dzieł sztuki, w muzeach haskich, te uroczyste sielanki wspólnych w okolicy podmiejskie Berlina wycieczek, przeżyte subtelnością, a oszałamiającym zapachem lubieżności, te burze zmysłowości i orgie bezwstydu tej wielkiej nałożnicy rewolucyi, jak niegdyś były kurtyzany królów i książąt — to wszystko są momenty psychologiczne i życiowe głęboko przeżute i świetnie zobrazowane.

Ale jeśli Latzkiemu, mimo pomocy Heli, nie udało się skusić Sworskiego, to znak, że nie dał się jeszcze znieprawić duch nasz, że „ramię przy ramieniu” gotowiśmy jeszcze iść w szeregach pod sztandarem Błękitnej Królowej.

Henryk Galle.

□□□□□□□□□□

## Maurycy Mochnacki.

~~~~~

Lat 75 minęło w końcu roku ubiegłego od czasu, gdy zamknął powieki do snu wiecznego wybitny patriota i pisarz, niedoceniony przez jednych, lżony przez drugich, przez innych znowu uwielbiany — Maurycy Mochnacki.

Dziś, po latach, gdy się w grób pokładli ci wszyscy, co wespół z Mochnackim działali, ci wszyscy, co w jednym okresie czasu z nim żyli, gdy dzieje tamtych dni, działania i sylwetki wybitnych mężów onej doby możemy odtworzyć li tylko z tego, co po nich zostało w pamięci i piśmie — czas odwalić grobowy kamień na mogile jednego z najznakomitszych mężów, jakich miała Polska w epoce Kongresówki.

Maurycy Mochnacki — nie jest już dzisiaj dla nas tym kimś, o którym wie się coś nie coś z encyklopedyi i historii literatury — o którym mówi się i powtarza mnóstwo niesprawdzonych, gołosłownych rzeczy, wynosząc pod niebiosa lub potępiając. Dwie obszerne prace: Artura Śliwińskiego i Jana Kucharzewskiego, odtwarzając epokę, w której działał Mochnacki, wiernie i dokładnie, na jej tle wyraźnie rysują śpiżową postać znakomitego patrioty.

Sumiennie, bezstronnie notują obaj biografowie każdy rys charakteru, każdy przejaw ducha, nie oszczędzają Mochnackiego, pisząc o tych rzadkich chwilach gdy moczarski ugiąć się musiał — ale zestawiając szeregi wielkich jego czynów z drobnymi odchyleniami od linii prostej życia — pozwalają czytelnikowi samemu odtworzyć sobie w myśli duchowy wizerunek tego rówieśnika i współdziałacza Łukaszyńskich, Plichtów i innych.

Maurycy Mochnacki urodził się we wsi Bojańcu, w pobliżu Lwowa, dnia 13 września 1804 roku (podług innych źródeł — 16 września 1803 roku). Ojcem jego był Bazyli Mochnacki, waleczny żołnierz Kościuszkowski człowiek bystrogo umysłu i rozległej wie-

dzy, doskonały prawnik i zamiłowany rolnik, cieszący się zaufaniem i popularnością wśród obywatelstwa — matką Marya z Pągowskich, kobieta na owe czasy bardzo wykształcona, niepozbawiona nawet zdolności pisarskich, ale grzesząca zbyt ślepą miłością dla dzieci.

Do piętnastego roku życia przebywał Maurycy na wsi w Bojańcu, rozkoszując się poezją, rozlaną w przyrodzie i kształcąc umysł. Języki: francuski, niemiecki, łacinę posiadał nadzwyczaj szybko, a zachęcony przez rodziców do gry na fortepianie, ukochał muzykę całą mocą swego nadmiernie wrażliwego serca, wykazując przytem zgola nietuzinkowy talent.

W r. 1819 ojciec Maurycyego sprzedał majątek i przeniósł się na służbę do Warszawy, gdzie był asesorem w prokuratury królewskiej, następnie radcą prawnym Komisji oświecenia i — omal nie awansował na referendarza stanu, co byłoby nastąpiło, gdyby nie opór W. Ks. Konstantego, który uznał, że radca Mochnacki źle kieruje wychowaniem swego najstarszego syna. Tu, w Warszawie, w czasie, kiedy całą Europę przenikały prądy rewolucyjne, gdy młodzież spiskowała, układała plany konspiracyjne, tworzyła towarzystwa i ligi tajemne — został Maurycy uczniem lyceum.

Nic dziwnego, że umysł młodego chłopca opanowały idee wolnościowe, że duch jego płomienny rozgorzał młodocianym zapalem, żądzą wolności, wskrzeszenia niepodległości Polski i innemi tego rodzaju pragnieniami, co wszystko znalazło sobie ujście w założeniu związku, którego członkowie schodzili się na wzgórzach dynasowskich za miastem i w mrokach nocy budowali w promiennym marzeniu świat nowy na trwalszych i lepszych podstawach.

Po ukończeniu lyceum i wstąpieniu na wydział prawny uniwersytetu, młody Mochnacki z pomocą jednego z najgorliwszych konspiratorów, wstąpił do organizacji Wolnych Braci Polaków. Związek ten wprawdzie szybko upadł, ale następstwa zapisania się doń Maurycyego miały być straszne dla młodego pisarza.

W r. 1823 Mochnacki za znieważenie komisarza policji skazany przez Wielkiego Księcia na czterdzieści dni pracy w taczkach wespół z aresztantami w Belwederze, wydalony z uniwersytetu i pozbawiony przez tegoż W. Ks. Konstantego możności objęcia jakiegos urzędu, nagle, w listopadzie, niespodziewanym trafem aresztowany i osadzony został w klasztorze Karmelitów.

Powodem stały się zeznania aresztowanego na Litwie jednego z przywódców Wolnych Braci Polaków — Heltmana.

Areszt ten, trwający kilka miesięcy, osłabił moc ducha młodzieńca, 19-letni Maurycy ugiął się i pod wpływem namowy jednego z członków komisji śledczej, Hankiewicza, dał dowód skruchy i napisał potworny memoriał, godzący w podstawy polskiego szkolnictwa, potępiający wolnościowe pisma, będący apologią cenzury — i krótko mówiąc, zaprzeczeniem wszystkiego, co przedtem i potem czuł, myślał, pisał, i działał Maurycy Mochnacki.

Uwolniony, ale w stanie zupełnej prostracyi duchowej, wstępuje Maurycy do biura cenzury, poduszczony przez naczelnika tegoż biura, słynnego J. K. Szaniawskiego i zachwiany prośbami i łzami przerażonej o los syna matki.

I to drugie odchylenie od linii prostej i jasnej całego żywota — mściło się później na Mochnackim aż do końca dni jego.

W r. 1825 pociągnięty przez przyjaciela, Michała Podczaszyńskiego, Mochnacki wstępuje do redakcyi *Dziennika Warszawskiego* i zamieszczanemi w piśmie tem pracami, powszechną na siebie zwraca uwagę.

W rok zaś później, z powodu procesu członków. Towarzystwa Patryotycznego Narodowego, występuje Mochnacki jako pisarz polityczny z odezwą do Sądu Sejmowego, zatytułowaną „Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego z okazji Sądu Sejmowego”.

Odezwa ta obiegła kraj cały, a według słów świadka naocznego tych dziejów, Barzykowskiego: „zatrzęsła sumieniem niejednego Polaka, i w sercach wszystkich się odbiła”.

I odtąd już rozpoczyna się era nowej działalności Maurycyego Mochnackiego, krótka efemerycznie, bo lat zaledwie ośm trwająca, ale obfitująca w czyny wielkie i dzieła wiekopomne; w rewolucyi literackiej, w walce klasyków z romantykami, która poprzedziła rewolucyę polityczną, występuje już Mochnacki z otwartą przyłbicą, jako rewolucjonista z temperamentu i przekonania.

Nim poszedł walczyć za Polskę — rozpoczął on burzyć mury starych przesądów literackich — a bój ten nazywał „insurrekcyą literacką”, a pierwszą jego pracą z tego zakresu był artykuł: „O duchu i źródłach poezyi w Polsce”, zapowiadający nadejście nowej ery w dziejach krytyki polskiej.

Zasługi Mochnackiego na tem polu są istotnie znakomite: on to, objawszy ster redakcyjny „Gazety Polskiej” (1827), stał w obronie młodych talentów i zmuszał do czytania ich prac gnuśniejące w zamilowaniu w klasycyzmie społeczeństwo.

T. Kończyc D. n.

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Święty Fen.

Powieść z życia ikarystów.

(Dalszy ciąg).

Ellen nie tała przed nią, że chodziło o wyjazd Pinkertona do rodziców. A Kate zajęła wobec tego opozycyjne stanowisko.

— Nie powinien jeździć do domu! — odrzekła. — Nauczyłby się tam znowu jadać inaczej i żyć inaczej. Już potem nie wysiedziałyby między nami długo. Pytanie wogóle, czy wróciłby do nas.

Utworzyły się dwa obozy. Crosstonowie i pani Anna byli za tem, aby Harry odebrał od matki swe pieniądze i przeznaczył je na cele komunistyczne. Hans i Kate zajęli pozycyę nieprzejednaną, popierali zapatrywania Pinkertona, podczas gdy Natałka i Fen nie zabrali wcale głosu w tej sprawie.

Niewiele ich widywano. Fen pod wieczór zszedłszy z pola, udawał się do Buxtona, zaglądał do pijaczyny w Purleigh, siadywał z jakimś schorowanym, opuszczonym kmieciem i wracał nieraz tak późno do chaty,

że wszyscy już spali i bez wieczerzy musiał kłaść się na sofę pod oknem.

Natałka zaś spędzała większą część dnia w Maldon lub w okolicznych farmach na lekcjach, które mnożyły się nie tylko dlatego, że były bezpłatne, lecz głównie z tej przyczyny, że uroczą komunistka była niesłychanie między uczennicami popularną. Dziewczęta w Maldon ubiegały się o jej przyjaźń, zazdrościły sobie każdego jej słowa, przechwalały się jej względami i tak pociągały za sobą coraz to inne panny, którym nie byłoby się śniło łamać sobie języka francuzczyzną. Wybuchła istna epidemia francuzka między pannami i utworzyły się aż dwa „cercle” uczennic. Gmina komunistów miała się przytem nieźle, bo spadały na nią najróżniejsze podarki, zwłaszcza w wiktuałach, od uczenic młodej komunistki.

Po lekcjach Natałka chodziła kąpać się w morzu, czasem grywała w tennis i wracała dopiero pod wieczór do domu, jeśli nie odwiedzała Buxtona.

Gdy miała wracać do siebie jedne uczennice ofiarowywały jej powózkę, inne pragnęły ją odprowadzać, lecz Natałka od pewnego czasu odmawiała i powracała zawsze sama, na rowerze. Stanąwszy zaś w Purleigh, miasto zwró-

cić się w aleję domostw, która podpasywała z boku wzgórze z wiatrakami, zbaczała gościńcem w przeciwną stronę, wiodącą do Norton, ginęła za wsią poza żywopłotem przydrożnym i zapuszczała się na łąkę nad strumykiem.

Tam opierała rower o olchy i siadała nad szemrzącą wodą. Cieniste to zacisze, gdzie rzadko tylko rozbrzmiewały głosy, miało dla niej wielki urok. Może dlatego, że przypominało jej dwa ważne momenty w jej, wolnem od zdarzeń, życiu. W pobliżu tej łąki zrobiła wyznaczenie Fenowi i tu ujrzała po raz pierwszy Darlingtona.

Nieraz, krocząc ścieżynką, zdawało jej się, że za chwilę Frank ukaże się naprzeciwko niej i na myśl tę przenikał ją nawskroś ciepły prąd jakiś i radość podnosiła się w niej purpurową falą. A potem westchnienie ulatywało z karmimowych ust i tęsknota przykrywała jej duszę. Zapadała w stan półsnu, z którego budził ją ptaszek, co niespodzianie zatrzepotał skrzydłami w zaroślach, bo zdawało jej się, że ktoś nadchodzi. Znów serce dygotało w piersi i znów cień melancholii zasnuwał jej widnokrąg. Wzrok jej więził na kryształowej wodzie, płynącej zdala od oczu ludzkich, w cieniu olszyny, jak jej dni cichej, czystej, przejrzystej.

Z literatury.

Marion. Uczciwa kobieta. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1911.

Jak w poprzednich utworach Marion, np. „Mirażach”, główną sprężyną twórczości jest i tu miłość życia, pełnego, potężnego rozkwitu życia indywidualnego. Wrogiem tego życia jest szara rutyna codziennego bytowania wśród obowiązków, wrogiem jego jest również praca gromadna, społeczna, w której się zatracą pełnię twórczą, Samorzutne błakanie się nad otchłaniami lepszym jest dla ducha, niż chodzenie po wyrównanej wspólnymi siłami drodze. Do takich wniosków dochodzi nauczycielka wiejska, Stacha, po długiej pracy społecznej, w której wiele jest gwaru, mało pogłębienia. Na tle tragicznych zmagania się najmłodszego pokolenia powstały te utwory. Jest w nich niespokojne docieranie do istoty życia, cześć dla tych, co odchodzą na drogę śmiertelnych poświęceń (w noweli „Ostatni”), wiara w wiekiistość odradzającego się życia, wschodzącego na gruzach istnień w nowej, wspaniałej przemianie („To wszystko już było”), wiara w owocność twórczości ludzkiej („Echa”). We wszystkich utworach lka tęsknota ust, odepchniętych od pułapu, smutek jesieni, która nie znała lata prawdziwych dopełnień i rozkwitów.

Jak zwykle w twórczości kobiecej, dużo tu liryki, dużo sierocego smętku duszy, która nie znalazła przystani. Niema zwycięskiego „ja”, zniewalającego życie, chociaż już jest więcej śmiałości życiowej, niż u innych kobiet. Ładny styl i przejrzysta konstrukcja wyróżniają te nowele z pośród wielu innych. Marion należy się poczesne miejsce w naszej beletrystyce.

Antoni Gawiński. Stella. Księg. M. Arcta. Warszawa.

Interesujący malarz nie dał tu żadnego objawienia literackiego. Atoli opowiadanie jego działa jakimś ciepłym, młodzieńczym sentymentem, pełnym tęsknot, wiary w miłość, wiary w życie. Upojenie słońcem Italii, upojenie polskim krajobrazem, upojenie ludźmi pięknymi, dumnymi, o ładnych duszach i dobrych sercach — jakież to młode, jakież to miłe. Zajmującą jest ta książka dla poznania indywidualności artystycznej Gawińskiego. Tak widzi rzeczywistość ten, który maluje tak fantastyczne baśnie. Ciekawem byłoby, gdyby Gawiński odtworzył słowem jedną z tych zawiłych, bogatych w kolorycie baśni.

Księgi życia i ducha. Dr. Toulouse. Jak żyć należy. Przekład Adolfa Strzeleckiego. Wyd. M. Arcta. Warszawa.

Księgi życia i ducha. O tem, jak żyć należy? Raczej o tem, jak żyć nie należy, jak żyć niewolno.

Przedewszystkiem, nauka powodzenia w życiu i w poszukiwaniu szczęścia nie jest etyką ani praktyczną, ani teoretyczną, tylko przepisem użyteczności. Cele utylitarne nie są tożsame

z celami etycznymi. Etyka częstokroć nie wzmacnia życia, lecz niszczy w imię zasady wyższej nad życie osobnicze i jego dobrobyt. Przykładem tego są wszyscy prawodawcy etyczni i twórcy religii, którzy umieli poddać swe życie prawdzie, wyrzec się wszystkiego, nawet umrzeć dla niej. Lecz wszakże książka Toulouse'a to etyka dla ludzi przeciętnych! Cała ohyda zadowolonego z siebie mieszczaństwa, rozpartego po swych sklepikach, tkwi w tem otwartem przyznaniu się: jestem istotą niższą, przystosuję prawdy do naszego poziomu i nie mam zamiaru wspiąć się wyżej, choćby o cal jeden. Ten człowiek przeciętny ma również swe ideały. Jego „cele wysokie”, o których mówi Toulouse, to pięcie się w górę, ale... do rang jeneralskich, do sławy, do pieniędzy. Ta książka, propagująca parweniuszostwo i karyerowiczostwo nie powinna była znaleźć miejsca w Polsce. Jeżeli, niestety, znalazła, to dlatego, że jest i u nas odłam ludzi, którzy chcą dla narodu praktyczności i obniżenia lotu dlatego, aby wobec innych narodów pobić rekord — handlarstwa. Przez nich to można dziś jeszcze powtórzyć do Polski słowa, wyrzeczone przez tego, kto tak nienawidził „zjadaczy chleba”: „pawiem narodów byłaś i papuga”...

Savitri.

□□□□□□□□□□

FRYDERYK SPIELHAGEN.

Zmarły w d. 25-ym z. m. znakomity osiemdziesięcioletni powieściopisarz niemiecki, przez lat pięćdziesiąt z górą sypał niemieckiemu mieszczaństwu, jak z rogu obfitości, najbardziej upragnione i najchętniej czytane powieści

Spielhagen, jako syn pruskiego radcy regencyjnego, spędził młode lata w Stralsundzie, uważany przez swego ojca, który dla pismaków żywił niesłychaną pogardę za marnotrawnego syna.

Już na ławie uniwersyteckiej próbował pióra. Poezye, opowiadania, tudzież szkice estetyczne i filozoficzne, były niefortunnym na razie tego plonem. Dopiero objęcie posady nauczyciela, która zapewniła mu grunt pod nogami, wpłynęło widocznie na to, że pierwszy jego artykuł został wydrukowany. Ale sława była jeszcze daleko i trzeba było nie jeden gorzki zawód przeboleć, zanim mu uwieńczyła skronie.

Przebywając w Lipsku, ogłosił pierwsze swe nowele „Auf der Düne” i „Clara Vere”, oparta na motywach ballady Tennysona; utwory te w niczem się jednak nie przyczyniły do ugruntowania przyszłej powieściopisarskiej jego sławy. W tym samym mniej więcej czasie ogłosił Spielhagen szereg przekładów prozą i wierszem, z których ostatnie zebrał w tomiku p. t. „Amerikanische Gedichte”. Z książki tej przemawiają w świetnych tłumaczeniach następujący amerykańscy poeci: William Cullen Bryant, Henry Wadsworth Longfellow., Edgar Allan Poe, William Gilmore Simms, William Wallace, Charles Fenno Hoffmann, Nathaniel P. Willis, Ephraim Peabody, Louis Legrand Noble, Park Benjamin, Richard Henry Stoddard, Bayard Taylor, William D. Gallacher, Ralph Hoyt i Ralph Waldo Emerson.

A tymczasem ponad Niemcami rozbłysła rewolucyjna luna, ale niebawem pożar stłumiono i dawny mrok zaległ dokoła. Junkierskie głowy podniosły się zwycięsko, odwieczne przesady zbudziły się do nowego życia, zdawną zaciekleścią wybuchła nienawiść pomiędzy północnymi i południowymi Niemcami, a groźna cesarska Francja znów wyrosła do niesłychanej potęgi; gospodarczy rozwój kraju, który się właśnie od owych czasów datuje i zwolna, ale stale, się powiększa, nie wiele mógł zaważyć na szalach pokolenia, które właśnie ideały swe musiało złożyć do mogiły. Rozpaczliwe zwątpienie opanowało najlepsze jednostki, beznaściejnie i beczynnienie wpatrzony w chmurną przyszłość. I wtedy poeci jęli ulatywać w wymarzony świat szlachetnego męstwa i olśniewającej piękności, w odległe kraje i czasy, w sferę sztuki rozkoszującej się czystem pięknem i pozbawioną treści sztucznością. Albo się przynajmniej starali osłonić boleść swoją, i gorycz zawodu, osłaniając je wspaniałą szatą i maskując tym sposobem stosunek swój do owych znienawidzonych czasów. Jenaj silniejsi z pośród nich wazyli się ukazywać publicznie bez szminki i wypowiadać ból swój w poematach, tchnących mrokiem cyprysowych gajów, zwracając wzrok swój od drobnych i drobnutkich współczesnych problemów ku odwiecznym zagadnieniom ludzkości. Ale droga ich zbyt była stromą, by za nimi ogół mógł podążać.

I wtedy ukazał się na widowni Spielhagen ze swoją powieścią „Problematische Naturen”. Tak, to byli oni sami, którzy przeżyli rok czterdziesty ósmy. Wszyscy oni poczuli to dobrze, że nie dorosli byli do żadnej z tych sytuacji, w których się znajdowali i że żadna z nich nie czyniła im zadość. I pierś poczęło im targać poczucie sprzeczności, trawiące im życie bez użycia. A nawet coś więcej jeszcze. W powieści tej znajdowali usprawiedliwienie swych niepowodzeń.

Było tam odtworzone godne pożalowania junkierstwo, którego sile ulegli, było tam pokazane, jak oni sami pozostawali jeszcze pod kłatwą romantycznych pojęć, dla których świeżo stoczona przez nich walka miała może pewne znaczenie, i jak padli nie tyle pod ciosem zewnętrznej potęgi, ile na skutek wewnętrznych swarów. I nie dość jeszcze na tem. Powieść owa ukazywała im ich ideały, podniesione do doskonałości i ich samych w najkorzystniejszym oświetleniu. Bohater powieści, Oswald Stein, nauczyciel domowy, stał się usobieniem najpodnioślejszych i najszlachetniejszych uczuć, jakie kiedykolwiek rozpierać mogły pierś śmiertelnika. Ukazała się postać, będąca nowym najgodniejszym przedmiotem tak rozpowszechnionej naówczas potrzeby uwielbiania bohaterkości. A wszystko to ujęte w dostępną dla ogółu formę.

Owa pierwsza wielka powieść, w której autor wypowiedział się ze wszystkich wątpliwości lat młodzieńczych, została przezeń napisana już w trzydziestym roku życia, po długich latach zwątpień, nadziei i rozpacz. Stanowi ona świetny obraz kultury współczesnej.

Na zapytanie: jakie właściwości zapewnią mogą dziełu sztuki bezpośrednio, szerokie powodzenie — odpowiedzieć należy: powinno omawiać sprawy aktualne w przystępnej dla wszystkich formie. Ogół nie chce widzieć w sztuce

ce nic innego poza tem, co mu przynosi życie; ale chce to widzieć w odmiennym kształcie, niż w życiu samem. Wymaganiom tym najzupełniej odpowiada pierwsza powieść Spielhagena. I cały szereg jego następnych wielkich powieści zaspakają w ten sam sposób tęsknoty publiczności. Zajmują go wyłącznie aktualne zagadnienia. Poczynając od dni marcowych, prowadzą nas jego powieści niemal do ostatnich czasów i omawiają cały szereg ważnych zagadnień z tego okresu. Spielhagen roztrząsa więc z kolei: stosunek mieszczaństwa do arystokracji, party robotniczej — do burżuazyi; stanowisko jednostek wobec państwa i narodu, obowiązki i prawa klas posiadających.

Drużga z kolei powieść „Rodzina Hohensteinów”, napisana w Berlinie, dokąd przeniósł się Spielhagen, przyjęty z entuzjazmem przez swych wielbicieli, mniejszej jest wagi pod względem psychologicznym, naskutek przeładowania akcji. Trzecia powieść „W szeregu” odtwarza koleje życia Ferdynanda Lassale’a, odmalowanego z wielką siłą pod nazwiskiem Leona Guttmana.

Po tych trzech dziełach, w których wre zacięta walka polityczna, ukazuje się istna powieść-sielanka „Młot i kowadło” — przodująca niewątpliwie, jako dzieło prostej, naturalnej akcji.

Tryumfy oręża niemieckiego w roku 1870 przejmują w Spielhagenie patryotę radością, ale stary bojownik z roku 1848-go ma do oplatkania niejedno nieziszczone pragnienie. Wyrazem owej chwiejności staje się powieść „Zawsze naprzód”, stanowiąca pod tym względem ciekawy dokument kulturalno-historyczny. Po raz ostatni lwi pazur znakomitego pisarza daje się uczuć we „Wzburzonej fali”, dosadnie odtwarzającej rozkwit i upadek berlińskiego „grynderstwa”.

Jedno tylko nie mile nas dotyka w powieściach Spielhagena: oto, podczas, gdy jego bohaterowie budzą w czytelnikach uczucie sympatyi szlachetnością swych ideałów i pełną zaparcia się walką, toczoną z wrogimi żywiołami, kobiece typy Spielhagena znajdują się na niskim stopniu umysłowego rozwoju. Ale cóż mógł na to poradzić autor niemiecki? Burza, która przemknęła ponad Germanią, nie wyrzuciła na brzeg ani jednej perły-kobiety, któraby pozostawiła ślad w historii, jak to miało miejsce z kobietami burzy, wicherzącej się we Francji w roku 1789-ym. Nie było tu ani pani Roland, ani Karoliny Corday. Kobiety niemieckie nie zdobywały warowni ani zamków, ukazanie się ich nie rozstrzygało spraw pierwszorzędnej wagi i wogóle nie należały one do żadnego politycznego obozu.

Spielhagen autorską sympatią otaczał wyjątkowe tylko kobiety, a i te pochodziły wyłącznie z niższych warstw społeczeństwa. Dlatego też w jego dziełach niemal że wszystkie przedstawicielki sfer arystokratycznych są to li-che, nikkzemne jednostki, kupczące zarówno sobą, jak i swemi córkami, żyjące z dnia na dzień, bez żadnej troski o jutro.

Taki ujemny stosunek do kobiet podobnego rodzaju bardzo wysoko stawał Spielhagena w oczach całego kulturalnego świata, w czasach, kiedy stosunek do kobiety poczytywany był za probierczy kamień osobistej wartości mężczyzny — i to nie tylko w literackiej sferze.

Powieść „Wzburzona fala” była ostatnią,

która cieszyła się wielkiem powodzeniem. Uważany za jednego z najwybitniejszych autorów niemieckich, nie uniknął z biegiem czasu losu wszystkich „wielkości”. Oto młodzi poczęli zapamiętale napadać na niego, poczytując drobne usterki jego dzieł za błędy zasadnicze, a starannie pezemilczając jego zalety. Nie zniechęciło to synajmniej Spielhagena, nieustającego w pracy. Poza powieściami: „Sonntagskind”, „Opfer”, „Freigeboren” wydał w tym czasie szereg cennych prac, poświęconych teorii i technice powieściowej. Z równocześnie ogłoszonych nowel na uwagę zasługują: „Faustus”, „Mesmerismus” i „Susi”; potem znów nastąpił szereg powieści: „Was will das werden?”, „Ein Neuer Pharao”, wreszcie ostatnia „Die Stimme des Himmels”, napisana w 1903-im roku.

W drugiej połowie życia Spielhagen próbował swoich sił na polu twórczości dramatycznej, ale nie przyniosło mu to wielkich sukcesów; tylko niektóre jego sztuki, jak: „Jaś i Małgosia”, „Miłość za miłość” przez czas dłuższy utrzymały się na scenie.

Od czasu do czasu ukazywały się też w piśmie oryginalne poezje jego pióra, zawsze uderzające niepospolitą wytwornością formy.

Zostały spolszczone niemal że wszystkie wybitniejsze jego powieści, a mianowicie: „Klara Vere” (*Kłosa* r. 1869), „Kokietka wiejska” (*Wędrowiec*, r. 1869), „Panienka z dworu”, (*Bluszczyk*, r. 1870), „Młot i kowadło” (*Tygodnik mód*, r. 1870), „Ultimo” (przekład Calliera r. 1875), „Natury zagdkowe” (przekład Józefa Prackiego r. 1860), „Angela” (przekład Br. Neufeldówny r. 1884 w *Tygodniku Powszechnym*), „Sfinks” (przekład Callierowej w *Bibliotece romansów i powieści*, r. 1885). „Dziecko szczęścia” (r. 1893).

W roku 1909 cały literacki świat niemiecki uroczystie obchodził w osiemdziesiątą rocznicę urodzin Spielhagena.

Do złożenia pióra zniewoliła Spielhagena dopiero ciężka niemoc, z której mu już trudno było się podźwignąć. Po stracie ukochanej żony, w ostatnich dziesięciu latach był pielegnowany przez jedną z córek. Przed trzema miesiącami i ją śmierć zabrała i to fatalnie wpłynęło na zdrowie starca, który na wszystko już zobojętniał i nikogo nie poznawał. Zapalenie płuc położyło kres życiu wielkiego reformatora powieści niemieckiej.

Wład. Nawrocki.

□□□□□□□□

Z listów do „Bluszezu”.

Kraków 4 Marca.

Pisma codzienne rozniosły tak szeroko, tak różnorodnie komentowaną sprawę uniwersytecką, że zbytecznem jest powtarzanie o niej. Przechodząc z ust do ust i ze szpalty jednego dziennika na szpalte innego, sprawa się tak dziś zagmatwała, że trudno dojść istotnej prawdy. Winne zdają się być obie strony.

Dziś przy zamkniętym uniwersytecie cisza i wielkie naprężenie, co dalej? Czy senat puści w niepamięć burzę młodzieńczą, nie czyniąc żadnych różnic i trudności? Czy młodzież

w razie przeciwnym zdoła zapanować nad sobą. Czy miłość nauki, rozsądek, miłość ojczyzny i tej starej wszechnicy Jagiellońskiej przewyższą partyjne niechęci? Kto ustąpi w imię zgody?

Młodzież różnych odłamów starała się porzumieć, może więc solidarność młodzieży przewyższy przeszkody drogą pokoju. Ponad tą burzą, której rezultatem jedynym, dotąd, radość Niemców z naszej niezgody.

Po szalonym karnawale konserwatywny Kraków nie uczcił jednak nawet pierwszego tygodnia postu. Ograniczono się na popielcu, ruch karnawałowy trwa. Raut zastąpił bale, muzyka zastąpiła tańce. Część towarzystwa odjechała jednak już ku progom rodzinnym lub na karnawał starego stylu.

Z początkiem wpisów zjedzie się rozpierchła młodzież i Kraków przybierze zwykły wygląd. Bo ten Kraków roztańczony, pełen ruchu dorożek, strojnych toalet, a pozbawiony studenckich peleryn i zmiętych kapeluszy, nie jest właściwym i najmiłszym Krakowem.

Sezon koncertów rozpoczął Śliwiński, wspomniany zawsze entuzjasty znie przez wielbicieli Chopina. Dalej Willy Burmester. Kwartet czeski i zapowiedź wielu innych.

Wystawa „Rzeźby” w „Towarzystwie Przyjaciół” zbiera ciekawych, mianowicie magicznym dźwiękiem nazwiska Rodin’a, który dał parę odlewów, biust rzeźbiarza Dalon i przesłiczną głowę kobiecą.

Nasi artyści wystąpili hojniej niż w zeszłym roku, mamy więc Biegasa, Dunikowskiego, Laszczkę, Glicensteinę, Kunzeka, Pelczowskiego i innych.

W Lutym ukazał się nowy „Krakowski miesięcznik artystyczny”, poświęcony sprawom Muzeum narodowego. Towarz. Przyjac. sztuk pięknych i Towarz. upiększania miasta Krakowa. Każdy z trzech działów prowadzić ma niezależnie jeden ze współredaktorów. L. Lepszy, dr. S. Goliński i prof. J. Kopera.

Wśród ilości wydawnictw poetyckich zwróciły uwagę wydane przez Friedleina w roku zeszłym „Pieśni i śpiewy rycerskie” — Mieczysława Smolarskiego. Młody autor władając już znacznie wyrobioną techniką pisarską uderzył w nowy ton porywający tematem i bijącą zeń mocą — „Więc przysłaś” — woła do wiosny—

„By dzień wywróżyć co świtem wstanie
„By w dzwon uderzyć na zmartwychwstanie
„wśród słońca!...

„Rozhucz się w surmy rycerskie złota
„I syp twem ziarnem rolnem w martwotę
„Na rolę”.

Nie bezsilną, nie kwilącą jest pieśń rycerska
co woła z bólem:

„Gdzie huf ten, gdzie huf ten pas pancerny,
„Co ławą szedł po siwy Dniepr i Bug”.
Dźwięk zbroi mocarny dzwoni też w rytmie
„Samotnej wieży”.

„Już puszczek nocny począł lot
„I północ mroczna bieży,
„Hej ho, kowalu!

Chwyć za młot,
„Dwunastą wydzwoń z wieży!
„Hej, ho, kowalu! w górę bieży,
„Żalobnym uderz tonem

„I raz ostatni
Zahucz z wież
„przeszłości głuchym dzwonem”.

I tam, gdzie w blasku księżycy błądzi poeta
i pod stopy królowny swej sypie płatki róż, za-
trzyma się by wołać z zapalem.

„O kochać, kochać! Wśród szarej martwoty
„Zbudzone serce trącić nowem biciem”.

Obecnie krytyka z uznaniem wspomina
o świeżo wydanej rozprawie M. Smolarskiego
„Poeta wiersza do legionów”.

Z radością należy powitać wśród wciąż trwa-
jącego pesymizmu ten świeży wiew w utworach
jednego z „najmłodszych”.

St. Szadurska.

□□□□□□□□

Z Sekcji Pedagogicznej Z. K. Z.

Z największym uznaniem podnieść należy
inicjatywę warszawskiego kółka Z. K. Z.,
które na zebraniach swych zapoczątkowało
wspólne narady rodziców z wychowawcami
nad sprawami, tyczącymi reformy wychowania
dziewcząt. Pierwsze posiedzenie, poświęcone
dyskusji nad przyczynami „przeciążenia szkol-
nego” odbyło się w Świetlicy dnia 10 b. m. przy
uczestnictwie przeszło 70 osób. Referat w tej
kwestyi tak bardzo palącej i powszechnie
odczuwanej, objął profesor szkoły handlowej
p. Stefan Jantzen i w gruntownym wykładzie
przedstawił całokształt zagadnienia, oraz poszcze-
gólne jego strony, kładąc główny nacisk na te
właśnie, które przy dobrej woli i wzajemnem
porozumieniu możnaby usunąć.

Referat poprzedziło przemówienie p. Świ-
derskiej, przewodniczącej kółka warszawskie-
go, przytaczamy je ze względu, że charaktery-
zuje najlepiej cel i dążenia podobnych zebrań,
którym życzyć należy, aby rozbudziły w społe-
czeństwie poczucie ścisłej łączności pomiędzy
domem rodzicielskim a szkołą.

„Zanim Szanowny referent dzisiejszy za-
bierze głos w sprawie przeciążenia szkolnego,
pragnę wyjaśnić pobudkę, która skłoniła nas
do rozważenia tej kwestyi w gronie osób bez-
pośrednio zainteresowanych.

Na jednym z naszych zebrań poświęco-
nych sprawom dobra społecznego, pewna liczba
członkiń wyraziła żądanie, aby koło warszawskie
wzięło na siebie obowiązek rzecznika i pośre-
dnika w palącej potrzebie uregulowania stosun-
ku wymagań programu szkół dzisiejszych do
zdrowia i sił uczennic. Był to odzew matek, uza-
sadniony uwagami i zdaniem doświadczonych
lekarzy.

Wynikiem chęci zadosyćuczynienia temu
żądaniu jest treść dzisiejszego zebrania.

Nie powoduje nami przekonanie, że zdo-
łamy kwestyę przeciążenia szkolnego rozwią-
zać szeregiem narad o wyniku nie zawsze od
nas zależnym. Mamy całą świadomość zasad-
niczych i formalnych trudności, jakie istnieją
i powstać mogą, ale pragniemy położyć jedną
cegielkę pod fundament nieodzownych ulep-
szeń i postępu w tej dziedzinie życia.

Nie powoduje nami krytycyzm i chęć

dyrektywy w sprawach, które leżą w bardziej
umiejętnych i doświadczonych rękach, ale pra-
gniemy być pośrednikami na tym neutralnym
gruncie, aby zawiązała się nić serdeczna
wspólnego porozumienia.

Z miłości dla młodego pokolenia i z dobrej
woli powstała myśl, której urzeczywistnieniu
chcemy dać początek”.

W referacie swym dał p. Jantzen pogląd
gólny na zadanie szkoły średniej, poczem stwier-
dził że „przeciążenie szkolne” na pensjach na-
szych istnieje stanowczo, a różnorodne nań
składają się przyczyny.

Jedne są tego rodzaju, że usunięcie ich
od społeczeństwa nie zależy, inne wymagają
bliższego zbadania, gruntownego omówienia,
i przy współdziałaniu rodziców ze szkołą mo-
głyby w znacznej mierze ustąpić, co już byłoby
wielkim dobrodziejstwem zarówno ze wzglę-
dów higienicznych, jak i moralnych dla mło-
dego pokolenia!

Co do programu zatem, który już wielokrot-
nie stanowił przedmiot obrad przełożonych
i profesorów, a w ostatnich czasach został nie-
co zmodyfikowany (po zapale pierwszych lat
szkoły polskiej, pragnącej jaknajszersze objąć
horyzonty), co do programu zwrócił referent
uwagę, że możnaby naukę dwóch obcych ję-
zyków uczynić fakultatywną, t. j. dać w tych
samych godzinach język francuski i niemiecki
do wyboru, aby uczennica uczyła się jednego
z dwóch języków tych, ale gruntowniej, niż
to się robi obecnie.

Dalej zwraca p. Jantzen uwagę na to,
że pewna znajomość prawa, pewne zasady lo-
giki, psychologii, higieny, pedagogii są potrze-
bne kobiecie i z tego względu w jej wykształ-
ceniu winny się znajdować, ale, że przedmioty
te nie obciążyłyby programu tylko w razie, jeśliby
nauka była 8-mio, a nawet 9-cio klasowa,
w granicach bowiem 7-iu klas, (przy bardzo
młodym wieku uczennic i bardzo małej ilości
godzin, poświęconych tym wykładom, nie przy-
noszą one istotnej korzyści, a są balastem ob-
ciążającym program z jednej strony, z drugiej
zaś pewnym „artykułem mody” raczej pró-
żność pobudzającym).

Przedmioty te radzi referent studyować
poważniej, po ukończeniu pensyi na kursach
specjalnych (np. kurs. Miłkowskiego, p. Rudz-
kiej, w Akad. dla Kobiet lub Tow. Kur. Nau-
kowych). Ani jednak przeładowanie programu
ani egzamina, (które przeważnie zostały znie-
sione, oprócz obowiązujących w klasie 7-iej),
nie stanowią najważniejszych przyczyn prze-
ciążenia szkolnego. Równie ważne w tym wzglę-
dzie jest marnowanie czasu i skracanie i tak
już bardzo krótkiego z powodu świąt i waka-
cyi roku szkolnego. Rodzice z błahych powodów
tolerują opuszczanie lekcyj, zabierają ucze-
nice zamiejscowe na parę dni przed terminem
świąt, odwożą je później. Zdaje im się, że to
nic nie znaczy. Tym sposobem jednak nietylko
psuje się porządek zakładu, a w dzieciach osła-
bia obowiązkowość, ale przyczynia się do straty
czasu — gdy komplet znacznie zmniejszony —
stąd do popędzania kursu — i przeciążenia.

Jedną wszakże z najbardziej zasadniczych
przyczyn przeciążenia szkolnego, jest *nieumie-
jętność uczenia się*. Ileż czasu pochłania noto-
wanie i przepisywanie notatek z wykładów
— a z jak oplakany nieraz rezultatem! Jak

rzadko spotyka się uczennicę, która umie uwa-
żać, ogarnia treść lekcyj, podkreśla i zaznacza
wybitne tylko, zasadnicze rzeczy. W pracy
większości pensyonarek niema natężenia umy-
słowego i umiejętności słuchania — tylko bar-
dzo wiele roboty machinalnej, absorbującej
całe godziny. Rodzice nie rozumieją wielokrot-
nie zadań dobrej edukacji, oprócz nauki na
pensyi dają jeszcze wiele dodatkowych lekcyj
prywatnych. W tej kwestyi zatem od rodziców
wiele zależy, rozpowszechnienie zasad racjonalne
wychowania i zdrowych pojęć o zadaniu szko-
ły średniej, jest sprawą palącą. Nieraz rodzice
oddają dzieci bardzo młode do klasy wyższej
nad wiek dziecka, aby panienska jaknajprę-
dziej pensyę skończyła i to jest błędem pedago-
gicznym. Ze strony zakładów naukowych pod-
nieśćby należało nadmierną dążność do spe-
cjalizacji, do powierzania każdego przedmiotu
innemu profesorowi (np. geometrya i algebra),
co sprawia, że przy znacznym personelu pensya
ma niewielu ludzi, którzyby się specjalnie jej
poświęcić mogli — profesorowie zajęci są w wie-
lu zakładach i w każdym z nich dają małą
ilość godzin. Także układanie i kombinowanie
planu zajmuje nieraz cały niemal wrzesień.

Ująwszy na zakończenie wszystkie owe
roztrząsania w kilka punktów, zwrócił się prof.
Jantzen do zebrania, polecając je szczegółowej
dyskusji, z której mógłby się wyłonić jakiś
rezultat praktyczny.

Po referencie zabrał głos prof. Kurtz,
którego zdaniem pensya o typie dzisiejszym
nie spełnia należycie zadań podwójnych: przy-
gotowania do studyów wyższych (uniwersy-
teckich), ani przygotowania do życia prakty-
cznego i skromniejszej pracy zawodowej. Po-
winny się tedy wytworzyć dwa typy: 8 kla-
sowego gimnazjum żeńskiego o programie
gim. męzkich — i szkoły niższej 5-io lub 6
klasowej, dostępnych przez taniłość dla śred-
nio zamożnych warstw, obejmującej naukę
gospodarstwa domowego i rękodziel (jak: in-
troligatorstwo, tkactwo i t. p.). W kwestyi
poruszonej przez referat, zaproponował pan
Kurtz dyskusję nad każdym punktem po kolei.

Następnie zabrała głos p. Sikorska, zazna-
czając liczne usiłowania ze strony przełożo-
nych pensyi do porozumiewania się z rodzi-
cami w sprawach pedagogicznych, oraz do na-
radzania się w gronie nauczycielskiem nad uje-
dnostajnieniem i ograniczeniem programu.

P. Rudzka przykładami z życia zilustro-
wała małe zainteresowanie się rodziców postę-
powaniem i nauką dziecka (np. podpisywaniu
dziennika na parę tygodni naprzód), uważanie
pensyi, jako konieczności życiowej, którą na-
leży odbyć, podkreśliła też, że w pokoleniu
najmłodszym wiele więcej jest egoizmu, wyho-
dowanego w rodzinie, aniżeli w dawniejszych.
Brak akurataności i obowiązkowości ze strony
rodziców istotnie przeszkadza znacznie w na-
leżytem wyzyskaniu roku szkolnego, w karna-
wale starsze panienki nieraz opuszczają lekcyjne
wskutek wieczorków, a w dzienniku jestto
usprawiedliwione chorobą — punktualności w przy-
jazdach trudno się najostrejszymi wymaga-
niami — doprosić.

P. Kisielewska, nawiązując dyskusję do
przemówienia p. Kurtza zauważyła, że obok
gimnazyów żeńskich i szkół 6-klasowych —
typ dzisiejszej 7-klasowej pensyi będzie miał

racyę bytu, jest bowiem wiele dziewcząt z domów zamożniejszych, które ani nie będą się kształciły wyżej zawodowo, ani zechcą poprzestać na szkole średniej (w Galicyi zwanej wydziałową). Należy tylko, aby ta pensja, nie mając już na celu zrównania się z programem gimnazjalnym (matematyka, łacina), dawała istotną kulturę polską, rozwijała dziewczęta pod względem społecznym i dawała pewne przygotowanie do obowiązków nietylko domowych, ale i obywatelskich.

Jednym z głównych powodów obecnego przeciążenia jest niedostateczna praca wychowawcza nad dziećmi w klasach niższych, a traktowanie uniwersyteckie nauki w klasach wyższych. Szkoła średnia nie powinna mieć zbyt wielkich pretensji. Rodzicom imponują nazwiska znanych w nauce profesorów, wskutek tego przełożone starają się ich pozyskać. Wyższe klasy pensji mają program szkoły ogólnej, a charakter kursów specjalnych, każdy profesor daje wykład i to albo przewyższający, albo pobudzający nadmiernie inteligencję uczennic: żaden nie wychowuje i nie ma czasu nauczyć ich osobistej pracy. A na tej właśnie, nie na pięknym i mądrym wykładzie, winna się opierać edukacja w szkole średniej.

Ażeby zebranie dzisiejsze uczynić prawdziwie owocnym, należałoby postawić jakiś wniosek i obowiązać się do jego przeprowadzenia. Np. wziąć pod uwagę sprawę opuszczania lekcyi z błahych powodów i spóźniania się na termin z naciskiem opinii publicznej dopomóżdź przełożonym w ich trudzie tyloletniej walki z niepunktualnością społeczeństwa.

Następnie zabrała głos p. Gagatnicka, występując w obronie pensji obecnych, które do wyższych studyów naukowych niejedną uczennicę przygotowały. Dyskusja o „przeciążeniu szkolnym” wkroczyła na manowce z chwilą, gdy zaczęto stawiać programy dla szkoły przyszłości.

Po odpowiedzi p. Jantzena i wyrażeniu przez p. Świdorską ogólnego pragnienia matek, aby gospodarstwo domowe zostało uwzględnione w programie wychowania dziewcząt zebranie zostało zamknięte, gdyż spóźniona pora nie dozwalała już dyskusji szczegółowej przeprowadzić nad wszystkimi punktami referatu. Mimo tego zaznaczyć należy, zebranie, przez poruszenia tych zajmujących kwestyi i postanowienia dalszego obradowania nad niemi — zagaiło sprawę doniosłego znaczenia, której nie powinno opuszczać, dopóki pewne postanowienia nie zostaną powzięte i przekazane tak przełożonym, jak profesorom i rodzicom do wprowadzenia w wykonanie.

J. O.

□□□□□□□□□□

Wystawa Zdobnictwa Ludowego.

Chęć przyozdabiania zarówno siebie, jak też i przedmiotów swego otoczenia, jest jednym z głównych źródeł sztuki, która zaliczona być musi do bardzo wczesnych objawów działalności ludzkiej, zjawia się ona bowiem w czasie, kiedy rozwój umysłowy człowieka był jeszcze nader ograniczony. W epoce, gdy jedyny przemysł stanowiło gładzenie krzemienia w for-

mie strzały, noża lub maczugi, człowiek posiada już zaczątki sztuki, która objawia się w usiłowaniach nadania przedmiotom tym ozdobniejszego wyglądu, zarówno przez formę, jak też i przez sposób wygładzania ich zewnętrznej płaszczyzny. Człowiek pierwotny poza utilitarnem znaczeniem przedmiotu, stara się też i o jego estetyczną formę, dąży zatem ku pięknu.

Toż samo dążenie do piękna przejawia się w wykonywaniu rozmaitych ozdób, służących do stroju, jak to naszyjniki, bransolety i t. d.

Jeszcze bardziej może, niż kształt przemawiała do wyobraźni pierwotnego człowieka barwa, żywymi kolorami się mieniąca. Te wrodzone zamilowania człowieka rozwijała i potęgowała przez szeregi wieków kultura, która pozwoliła wykwitnąć najsztubniejszemu przejawom sztuki; równolegle jednak do działalności najwytworniejszych artystów, szerokiem korytem płynęła rozlewna fala twórczości ludowej, samorzutnej, z owego wrodzonego popędu powstającej. W historii sztuki każdego narodu widzimy tę dwutorowość jej rozwoju i nie możemy lekceważyć przejawów tej naiwnej, szczerzej twórczości, która jest wyrazem dążeń estetycznych ludu.

W Polsce od niedawnych czasów dopiero zaczęto zwracać bacniejszą uwagę na przejawy sztuki ludowej; przed niewiele dziesiątkami lat *odkryto* samorodne, a niezmiernie piękne zdobnictwo i budownictwo na Podhalu co dało pohop do bacniejszego studyowania tych działów twórczości i w innych okolicach naszego kraju.

Jak zawsze, tak i w tym wypadku Kraków wyprzedził Warszawę i jemu to należy przypisać zasługę zorganizowania Towarzystwa „Polska sztuka stosowana”, mającego na celu zarówno badanie i ochranianie zabytków zdobnictwa ludowego, jak też i rozwijania tych motywów w artystycznej, a swojskiej formie.

U nas w Warszawie pierwszą część tej roboty wzięło na siebie ruchliwe i czynne Towarzystwo krajoznawcze, które przy swym lokalu zapoczątkowało zbiory z zakresu zdobnictwa ludowego, a obecnie urządziło okazałą wystawę tego działu. Towarzystwo zwróciło się z prośbą o współdziałanie do licznych swych oddziałów prowincjonalnych, co dało możność reprezentowania na wystawie zdobnictwa z różnych okolic naszego kraju, niezawsze może kompletnie, chwilami nieco chaotycznie, w całości jednak bardzo zajmująco ze względu na pokaźną ilość zgromadzonego tu materiału.

Zapewne, iż przydałaby się ściślejsza planowość w urządzeniu tej wystawy, niemniej jednak winniśmy głęboką wdzięczność Towarzystwu krajoznawczemu za podjęte trudy, które doprowadziły do pomyślnych i poważnych rezultatów.

Wobec zalewania naszej wsi przez tandetne wyroby maszynowe, które nęcą lud swoją taniością, samorzutna twórczość zdobnicza zaczyna powoli upadać, a w niektórych okolicach i zupełnie zanikać.

Zauważyć się tu daje bardzo smutny objaw coraz częstszego zarzucania charakterystycznego stroju ludowego, a przebierania się po miejsku.

Coraz bardziej nikną piękne, barwne samodziały, charakterystyczne hafty — zastępują

je liche perkaliki, tandetne korty, noszone krojem szkaradnym, ale — miejskim. Przeciwdziałanie zatem temu niepożądanemu prądowi jest pracą konieczną i nagłą. Podnieść i podkreślić wartość estetyczną dawnego stroju, rozbudzić gasnące zamilowanie do wyrobów ręcznych i charakterystycznie zdobionych.

To też Towarzystwo krajoznawcze, zbierając zarówno charakterystyczne stroje wiejskie, jak też i wszelkie przejawy samodzielnej twórczości ludowej, w zakresie [zobnictwa, ma podwójną zasługę — podnosi ono wartość tych prac w oczach ich wykonawców, a jednocześnie budzi zamilowanie i zaznajamia z niemi szersze warstwy publiczności, która ma dosyć mętne wyobrażenie o ubiorach i zdobnictwie naszego ludu.

W trzech salonach naszego pałacu Sztuki zagrały barwy silne, mocną a ciekawą harmonią często wytwarzające; zarysowały się kształty uogólniane, nieraz zgruba zaledwie zaznaczone, pełne jednak charakteru i swoistego wyrazu. Nie wszystkie zebrane tu okazy noszą cechę artyzmu, wiele z nich posiada bardziej etnograficzne znaczenie, zawsze jednak budzą najwyższe zainteresowanie ze względu na swoisty a oryginalny ich charakter, który pozwala nam zajrzeć głębiej w duszę naszego ludu i zbadać jego dążenia i aspiracje w kierunku osiągnięcia dostępnej dlań sumy piękna.

Najbezpośredniej dążenia te wypowiadają się w strojach ludowych, które są niejako odbiciem dążeń estetycznych mieszkańców danej okolicy.

Gojące jaskrawe barwy mienia się na strojach łowickich; w pasiastych ich wełniakach to przeważa kolor pomarańczowy, to składa się na niem ciemniejsza harmonia barw zielonych, fioletowych i czerwonych. W spokojniejszych, stłumionych tonach utrzymane są stroje włosciańskie z Suwalszczyzny, ze spódniczkami ręcznie haftowanymi na samodziale, oraz pięknymi, czarnymi haftami na koszuli.

Lubelskie posiada charakterystyczne sukmany męskie oraz niezmiernie oryginalne kurtki, haftowane i pokryte aplikacją z czarnego aksamitu. Z tejsze okolicy z powiatu biłgorajskiego widzimy tu przepyszną kolekcję gorsetów ze starych materyi włoskich, lionskich i wschodnich, o muzealnej nieraz wartości, które tylko krojem należą do sztuki ludowej. Dalej spotykamy barwne stroje włoscian wilanowskich oraz ubiory kobiet i mężczyzn z Podlasia, Kujaw, Sieradza, Wyszkowa, Wołynia, Zagłębia, a także ciekawe szczegóły ubiorów z Podola, Krakowa, Podhala i innych okolic.

Nie sposób tu opisywać szczegółowo wszystkich okazów, których liczba do tysiąca sięga; zwrócić zaledwie można uwagę na najcharakterystyczniejsze wśród nich. Do takich należą w zakresie ubiorów różne rodzaje strojów kobiecych na głowę, nieraz wysoce nieestetycznych, choć oryginalnych i odrębnych w każdej okolicy.

Z zakresu budownictwa ludowego widzimy niewiele bardzo okazów; prócz rysunków i fotografii z niektórych budynków, mamy tylko dwa modele chat: kujawskiej z podcieniami i motywem słońca na drzwiach, oraz kurpiowskiej, ze słomianym dachem, zakończonym „šparogami” na szczycie.

Wielka szkoda, iż nie wystawiono modeli chaty z każdej z okolic naszego kraju, reprezentowanej na wystawie, coby dało ciekawy i pouczający materiał porównawczy.

Bardzo bogato reprezentowany za to jest dział zdobnictwa sprzętów i wnętrza chat wiejskich.

Najdokładniejszy z oddziałów wystawy, łowicki, wystąpił z charakterystycznym wnętrzem izby zamożnego gopodarza, z autentycznymi sprzętami i przedmiotami codziennego użytku. Uwagę tu zwraca oryginalnie zdobiona pościel z mnóstwem poduszek, oraz barwne wycinanki, pokrywające część ścian i belki w suficie.

Wogóle wycinanki stanowią ulubiony rodzaj zdobnictwa ludu naszego, zbliżający się do malarstwa, a przejawiający ogromnie silnie rozwinięty zmysł dekoracyjny. Podziwiać szczerze można zręczność ornamentacyjną autorów, a przeważnie autorek tych bogatych i pomysłowych ozdób, wykonywanych z papieru nożycami od strzyżenia owiec, a posiadających często niepospolitą pomysłowość i, dokładność rysunku. Pośród licznej kolekcji wycinanek z różnych okolic naszego kraju prym trzymają naleczowskie, najlepsze w rysunku, z motywami zwierzęcymi, wśród których wyróżniają się piękne gwiazdy z zającami w przeróżnych pozach, bardzo dobrze w ruchu uchwyconemi, oraz wycinanki łowickie ze stylizacją sfastyki.

Drugim ulubionym działem zdobnictwa naszego ludu są pisanki i skrobanki, nader miśternie nieraz wykonane. Na wystawie widzimy też bardzo oryginalne pisanki, wlepiane sitowiem na oklejonym materiale, wyrabiane w gub. Płockiej. W dziale łowickim widzimy też ozdobne dzbanuszki, oraz ptaszki, wykonywane z jajka.

Motywy ludowe z wycinanek i pisanek, stanowić mogą niewyczerpaną skarbnicę dla artystów, chcących wytworzyć swojską stylową ornamentykę, zawierają one bowiem w sobie najwięcej estetycznego pierwiastku, czego nie można powiedzieć na przykład o „pająkach” też bardzo rozpowszechnionym rodzaju upiększeń ludowych, przeważnie pstrych i zgmentowanych w rysunku.

Do piękniejszych okazów wystawy należą malowane skrzynie ludowe, bogaty zbiór klamer i spinek zakopiańskich górali, rzeźbionych w metalu, oraz komplety ozdobnie tkanych i haftowanych pasów, tasiem i wstęg, a prawdziwie artystycznie przedstawia się zbiór kilimów podolskich o stłumionych i harmonijnych barwach, co do wzorów których możnaby mieć jednak duże wątpliwości, czy są ludowego pochodzenia.

Wielce charakterystycznie przedstawiają się różne „gaiki” „światy” koguty wielkanocne oraz różgi weselne, które mają swą starodawną obrządkową tradycję. Do bardzo starożytnych okazów zaliczyć należy też obrazy malowane na szkłe, i płótnie, przeważnie treści religijnej, oraz arcyciekawe, rzeźbione kapliczki i krzyże przydrożne, wruszające swą naiwną a głęboką miarą. Są to okazy coraz radsze, ginące powoli i z tego względu wymagające jak największego poszanowania oraz ochrony.

Wogóle znakomita większość zgromadzonych zbiorów posiada dużą wartość muzealną i pragnęłyby należało, aby nie zostały one roz-

proszone, lecz aby stanowiły podwaliny trwałego muzeum etnografii i sztuki ludowej.

Czy takie życzenie jest możliwe do urzeczywistnienia, trudno przesądzać — w każdym razie z radością zaznaczyć należy fakt, iż zapobiegliwe Towarzystwo Krajoznawcze pozyskało już fundusze na wydawnictwo wielkiego albumu, mającego pomieścić podobizny wystawionych obecnie tak bardzo interesujących okazów.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



Z żałobnej karty.

Ś. p. Jan Galasiewicz (Galos).

Ubyła jednostka wybitna i zasłużona w świecie artystycznym i teatralnym — jasna postać człowieka, miłującego gorąco sztukę i piękno, żyjącego wspomnieniami najpierwszej młodości i niezatartych wrażeń dziecięcych. Z pochodzenia — wieśniak — tęsknił do swoich, do tła, na którym wzrastał i z którego duch jego poszybował wyżej, dążąc ku pięknu i sztuce.

Urodzony w r. 1849 w Krakowskiem, ukończywszy gimnazjum w Krakowie, zaciągnął się w szeregi adeptów dramatycznych, wędrując po prowincji jako aktor i sufler. Z jednej takiej wycieczki wywiózł początek choroby, która pozbawiła go nogi i ostatecznie oddała śmierci przedwczesnej. Suflując w zimnej stodole, w ubraniu mniej niż dostatecznym padł ofiarą braku i iście pełnego zaparcia się siebie — dla sztuki. Odbiło się to w r. 1890, kiedy musiano mu odjąć zgangrenowaną nogę.

Rok ten był kresem kariery aktorskiej; odtąd spotykaliśmy Galasiewicza w kasie teatru Nowości, jak z pogodnym uśmiechem zdawał się zapominać o swem nieszczęściu i kalectwie. Gościł kolejno: na scenie poznańskiej, krakowskiej, aż wreszcie dostał się do Warszawy, z którą rozłączyła go śmierć dopiero. Jako aktor odznaczał się inteligencją i dużą znajomością wymagań sceny — najchętniej i z największym rozmachem grywał role chłopskie. Nie poprzestawał jednak na roli odtwórcy; od wczesnej młodości próbował pióra i talent pisarski ujawnił już w Krakowie w r. 1880, napisawszy

„Czartowską ławę”, która weszła tryumfalnie na wszystkie ówczesne sceny, grana z powodzeniem i przyjęta przez krytykę bez zastrzeżeń. W r. 1882 wystawił w Warszawie dramat: „Wspólne winy”, potem „Aby handel szedł”, wreszcie dokonał przeróbki z „Chaty za wsią” Kraszewskiego do współki z Mellerową. Za „Chatą” przyszedł ciąg dalszy „Dziewczyna z chaty za wsią”, obie te sztuki cieszyły się ogromną popularnością, jako przerobione z prawdziwym talentem scenicznym. Nagrodę otrzymał za „Ciarochy”, sztukę ludową, barwnie i żywo napisaną. Dorobek literacki Galasiewicza dopełniają jeszcze drobne szkice, drukowane w *Wędrowcu* p. t. „Wiejski światek”.

Zmarły literat i artysta łączył talent z przymiotami charakteru, które zdobyły mu uznanie i przyjaźń kolegów i towarzyszy.

Ostatnie lata spędził w domu pp. Wojdów, czując się w nim, jak w rodzinie.

W szeregu mogił, jakie społeczeństwo nasze usypało w ostatnich czasach, przybywa dziś świeża, coraz więcej wspomnień na miejsce żywych i kochanych postaci... Na trumnę zacnego człowieka i utalentowanego artysty, rzucamy grudkę ziemi — ziemi, którą tak gorąco ukochał...

Cześć jego jasnej pamięci!

K. Łozińska.

□□□□□□□□

Chwila bieżąca.

W Petersburgu w Styczniu odbył się *wszechrosyjski Zjazd w sprawie pedagogiki doświadczalnej, pedagogii oraz psychologii dziecka*. Na zjazd ten przybyli przedstawiciele instytucji naukowych rosyjskich i zagranicznych. Pomiędzy innymi obecni są: wiceprezes niemieckiego towarzystwa pedagogiki doświadczalnej Sommer, bułgarski minister oświaty prof. Najkow z Sofii, Markanjanc, deputat lipskiego instytutu psychologicznego. Uniwersytet petersburski reprezentuje prof. Petrażycki.

Ministerium oświaty złożyło 1,000 rb. na potrzeby zjazdu.

Główne kwestye, któremi zajął się kongres, są następujące: metody doświadczalne badania poszczególnych procesów życia psychologicznego; badanie doświadczalne indywidualności i eksperymenty z zastosowaniem do rozwiązywania zagadnień pedagogicznych. Prócz tego kongres zamierza opracować plan systematycznego badania pod względem psychicznym uczniów szkół średnich w obrębie państwa.

Prof. R. Sommer, zapowiedział następujące referaty (w języku niemieckim): 1) psychologia doświadczalna oraz jej znaczenie dla psycho-patologii; 2) alkoholizm i epilepsja; 3) wychowanie; 4) dziedziczność, zwyrodnienie i degeneracja.

Wreszcie zanotować należy, iż wraz z kongresem połączona jest wystawa pedagogiki doświadczalnej.

Treść numeru:

Paulina Reinschmit-Kuczalska, przez Zofję Seidlerową.—Zawrotne drogi, przez Tadeusza Konczyńskiego. Pod znakiem Błękitnej Królowej, przez Henryka Gallego.—Maurycy Mochnacki, przez T. Kończyca.—Święty Fen, przez M. Wierzbńskiego. — Z literatury, przez Savitri.—Fryderyk Spielhagen, przez Wł. Nawrockiego. Z listów do „Bluszczu”: Z Krakowa, przez St. Szadurską.—Z Sekcji Pedagogicznej Z. K. Z., przez J. O. — Wystawa Zdobnictwa Ludowego, przez Z. S.-Stankiewiczównę.—Z żałobnej karty.—Chwila bieżąca.

Do niniejszego numeru dołącza się:

- 1) Opis robót z rycinami; odpowiedzi p. Marcela.
- 2) Arkusz 11 powieści H. G. Wells'a p. t. „Anna Weronika”.
- 3) Tablica krajów.

Dla prenumeratorów prowincjonalnych dołącza się przekazy zwrotne do administracji „Bluszczu”.

Odnaczona Medalem Złotym **Pracownia Gorsetów** **Maryi Barszczewskiej** plac Św. Aleksandra 14. Tel. 40-73 wprost stacyi tram. wawowej. Poleca od skromnych do najwykwintniejszych

Sargia KALODONT
Niezbędny **KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowe.
Ządać wszędzie

Siwym włosom
stopniowo i nieznacznie przywraca naturalny kolor i miękkość bezwarunkowo nieszkodliwy środek **Régénérateur** 422
„ORIENTINE“
firmy **PARFUMERIE D'ORIENT**
Sposób użycia tego wypróbowanego środka bardzo prosty. — Mnóstwo podziękowań. Do nabycia w składach aptecznych i perfumeryjnych po rb. 3. (Pudełko podwójne bez przyborów rb. 5). **Główny Skład w Warszawie Ludwik Spiess i Syn**
WYSTRZEGAĆ SIĘ NAŚLADOWNICTWA.

Kalotechnika (kult piękności)
Marszałkowska 116. Tel. 33 74. usuwa: wągry, kurczaki, brodawki, stosuje masaże kosmetyczne odmładzające cere, rozprowadzające zmarszczki, od 3-6 **KLIMECKI** udziela porad kosmetycznych.

Magasin Français G. Bargouin
Specjalność francuskiej biżuterii. Warszawa, Nowy-Swiat 45. Tel. 72-08.

Fryzjer „Roman“
SPECYALNIE DAMSKI
Najlepsze farby do włosów i specjalne farbowanie siwiejących włosów blond. Loki, turbany, sploty. Sienna № 1 róg. Marszał. Tel. 108-54.

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ I DZIECINNEJ Bronisławy Szyszko
314 Warszawa, Chmielna 37, Telefonu 122-05, Senatorska 6; Tel. 194.40. Elekoralna 43, Tel. 111.07
Poleca: Bluzki, Kostiumy, Suknie, Peniary, Halki, Matinki, Bieliznę damską, ubranka dziecinne. Mundurki dla pensjonarek, palta, berety itd. Ponadto: Paski, żaboty, pończochy itp. Suknie reformowane. Wykończenie staranne. Punktualność. Ceny przystępne. Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się natychmiastowo.

DLA KASZLĄCYCH I ASTMATYKÓW
znane ze swej skuteczności
TUSSOLINOWE PASTYLKI
SPRZEDAŻ W APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH
Skład główny apteka J. LELEJKI w Warszawie

JADWIGA ŚWIĘTA KRÓLOWA NA POLSKIM TRONIE
w opracowaniu Ks. Władysława Bandurskiego biskupa-sufragana Lwowskiego z licznymi ilustracjami kolorowymi Piotra Stachewicza, format 4^o (21x29cm.) w bardzo ozdobnej i gustownej oprawie według rysunku Piotra Stachewicza. Wydawnictwo to, tak ze względu na swoją treść jak i nader gnostowne i estetyczne wydanie, znajdować się powinno w każdym domu polskim. **CENA egzempl. rb. 8, przesyłką rb. 9,-, na Syberję 9.65, za zalicz. poczt. o 20 kop. drożej.**
P. S. Od każdego egzemplarza sprzedanego niniejszej książki, przeznaczona się 40 kop. na kosztą kanonizaeyi Królowej Jadwigi.
Za króla Stefana napisał Artur Gruszecki, powieść historyczna, 2 tomy, str. 965. Cena rb. 2.50, przesyłką 60 kop., za zaliczeniem 70 kop.
Niepokalana napisał St. Berdyszyński, ilustrował F. Zamian, wydał ks. M. Kądziola, legendy o Matce Boskiej w pięknej oprawie w płótno. Cena rb. 1.-, przesyłką 40 kop. za zaliczeniem 50 kop.
Ojciec Zadumionych napisał Juliusz Słowacki, ze słowem wstępem ks. Biskupa Bandurskiego przesłaniczniei ilustracjami W. Rossowskiego, w pięknej krakowskiej oprawie. Cena rb. 1.75, przesyłką 40 kop. za zalicz. 50 k.
20 książek pierwszorzędných autorów polskich i obcych, kosztujących w handlu księgarskim rb. 16.50 po cenie wyjątkowo zniżonej za rb. 4 za oprawę w płótno rb. 2 przesyłką 65 kop. za zaliczeniem 75 kop. Powyższe dzieła są do nabycia w głównym składzie na Królestwo Polskie i Rosyę w Administracyi.
„Taniej Biblioteki“ w Warszawie, Hoża 37 m. 10
oraz we wszystkich ksi. garniach.
Spis obszerny wysyła się na żądanie darmo.

Pierwszorządne biuro nauczycielskie **Maryi Balińskiej**
poleca nauczycielki nauczycieli bony różnych narodowości freblanki z szyciem. Widok 13 telefon 77-34.

Produkty wiejskie
NOWY ŚWIAT № 40 telef. № 159-00 w podwórzu
poleca najświeższe i nadzwyczaj tanie, uskutecznia dostawy, do szpitali, lecznic restauracji i pensjonatów
A. Paluszkiewicz
Ceny hurtowe.

Francuzki przyjechały:
klasztorne wychowanie, robótki, szycie. Jedna z brewet Biuro Jaholkowskiej Chmielna 36.

Zmarszczki usuwa pasta „La Jeunesse“. Reprezentanci:
WEINSTEIN i S-ka
Nowowielka Nr. 14 Warszawa.

S. PRZEŹDZIECKI
WARSZAWA MAZOWIECKA № 5
poleca w wielkim wyborze ubrania dziecięce i uczniowskie oraz nowoprowadzony dział sukienek i kostiumów dla panienek na każdy wiek.
Roboty wykwinne. Ceny umiarkowane.

Henryk Michaux
lekarz-dentysta
ul. Foksal 15 m. 2, tel. 69-80.

Fryzjer damski Roman Pisarski.
Długoletni pracownik M. Gąsiorowskiego poleca wyroby z włosów i czesania dam Złota 34 tel. 211-71.

CZYTELNIĄ
d/a dzieci, młodzieży i wychowawców
„PROMIEN“ Marszałkowska 111, tel. 16-81.
Książki w 4 językach. Codzienna dezynfekcja książek na miejscu.

Nowy wielki transport **Koronek ruskich, walansien haftów**
do bielizny nadszedł do składu **FIRANEK E. Mireckiej**
Krucza Nr. 46 I piętro mieszkanie prywatne telefon Nr. 107-31.

Dziennik psotnego chłopca
☐ (przekład z angielskiego Zofii S. ☐ z 30-a rysunkami Jana Holewińskiego).

Pod powyższym tytułem ukazała się książka, budząca od początku do końca nieprzerwany wybuch śmiechu. Dowcip i humor, któremu się oprzeć niepodobna, z kalejdoskopową szybkością wytwarzają sytuacje, wpływające jedna z drugiej i porywające siłą dziecięcej pustoty, poprzez którą jak w zwierciadle ukazują się błędy i słabostki ludzi dorosłych.
Książka, nosząca w oryginale tytuł: „A bad boy's Diary“ — cieszy się kilkudziesięcioma wydaniami. Tłomaczka znakomicie zachowała sposób mówienia i pisownię dziecka, od których oryginał nie odbiega ani na chwilę
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa i w administracyi „Bluszczu“. Cena rb. 1 kop. 30, w oprawie rb. 1 kop. 75.

MASZYNY DO SZYCIA KOMPANJI SINGER
MASZYNY RĘCZNE OD 25 R.
MASZYNY NOŻNE OD 40 R.
WYPŁATA RATAMI OD 1 RUB. TYG.

Stancja dla dwóch panienek
uczających się opieka troskliwa, pożywienie dostatnie, w znanym obywatelskim domu. Porozumieć się można także listownie.
Warszawa, ul. Włodzimierska 10-11. W. D.

Sprzedano więcej niż DWA MILJONY słoików.
MŁODOŚĆ i PIĘKNOŚĆ nadaje każdej **TWARZY KOBIECIEJ** krem **CAZIMI** METAMORFOZA
USUWA RADYKALNIE piegę, wągry, zmarszczki, ogorzałość i inne defekty cery.

Tanio i ładnie przerabia i ubiera kapelusze
Marja Szczygielska
Była uczennica **W. Pistor.**
Ulica Hoża № 42 m. 10.

Poszukuję posady przy gospodarstwie klucznicy lub do pomocy pani domu posiadam chlubne świadectwa adr. Białystok Staronosowa „Hygiena“
Wanda Boltz.

L. LIPIŃSKI Plac Teatralny 7 tel. 75-12 w Warszawie.
Pierścionki, Kołczyki, Bransoletki, Broszki, Plaques i Pendants, Spinki złote i srebrne. Medaliony i Brelokki.
Papierośnice złote. Papierośnice srebrne i emalowane. Łańcuszki złote z playtaną. Zegarzki złote z brylantami.

